Cena 60 gr

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

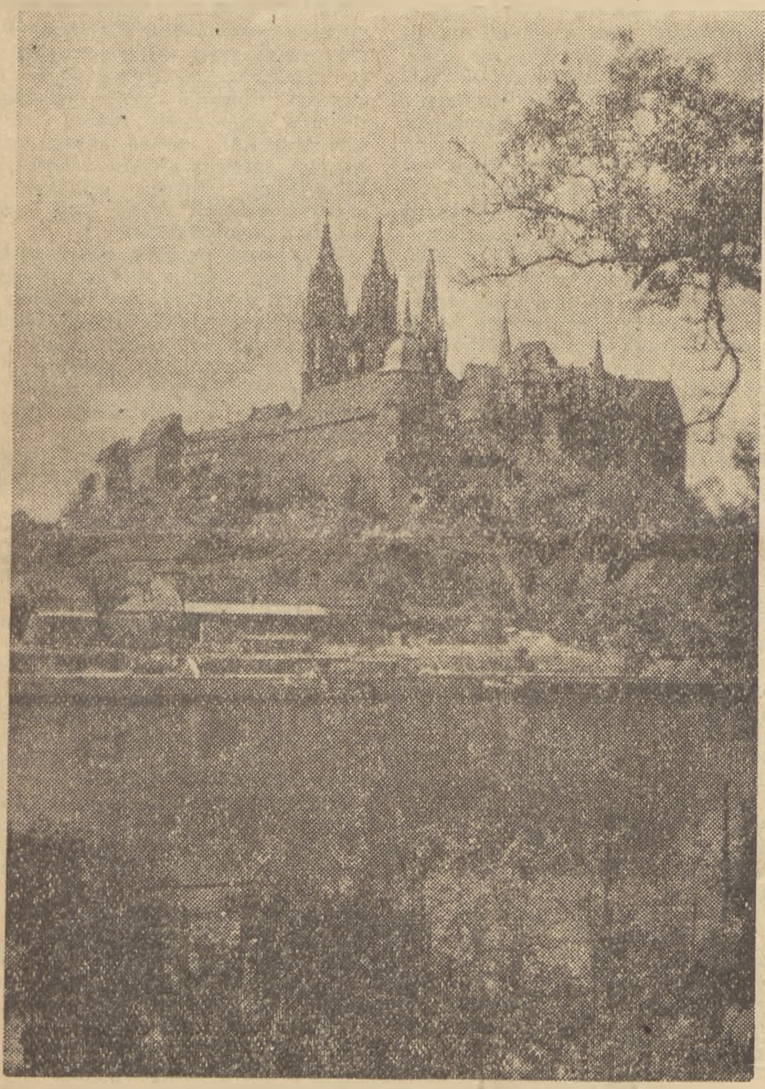
W NUMERZE m.in.:

Rok VII | Warszawa, 11 listopada 1951 r. | Nr 45 (311)

Andrzej MICEWSKI

ZJAZD W MEISSEN

UNIA chrześcijańsko-Demokratyczna (CDU) w Niemieckiej Republice Demokratycznej wybrała stare, średniowieczne i tak bardzo związane z chrześcijaństwem, saskie miasto Meissen, na miejsce swych ideologicznych obrad. Meissen jest bardzo stare i zabytkowe, zostało ono założone



Ogólny widok Meissen

już w roku 929, zaś pierwsze biskupstwo w Meissen ustanowiono w roku 971, czyli bez mała przed tysiącem lat. Wybór tego starego ośrodka chrześcijańskiego na zjazd partii chrześcijańskiej był bardzo trafny i symbolizny: treść zjazdu w Meissen, cały jego charakter był pomyślany w najściślejszym związku z nadchodzącą epoką, ale źródłem założeń ideowych, które miał wypracować zjazd, były niezmienne podstawy chrześcijańskiego światopoglądu.

Meissen leży w Saksonii niedaleko Drezna. Wspaniałe zabytkowe Drezno, tak niegdyś związane przez królów saskich z polską historią, jedno z najpiękniejszych miast niemieckich, leży dziś całkowicie w gruzach. Z wielką goryczą mówią mieszkańcy tej stolicy Saksonii o anglosasach. Miasto bowiem nie posiadając żadnych poważniejszych obiektów przemysłowych, a będąc prawie w całości bezcennym zabytkiem ostało się przez całą niemal wojnę nietknięte. Dopiero 13 lutego 1945 roku, gdy wynik wojny był już przesądzony, ale także do-ło się jasne, że Drezno zostanie okupowane przez Armię Czerwoną, lotnictwo anglosaskie bez żadnego celu militarnego, w trzech kolejnych atakach zupełnie zniszczyło miasto.

Teoretyczno-ideowy zjazd CDU odbywał się w Meissen między 19 a 21 października. Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna powstała w r. 1945, przeszła niewątpliwie już określoną drogę politycznego rozwoju i wewnętrznej ewolucji. Linia ewolucji tej partii wyznaczała coraz bardziej postępującą demokratyzację zarówno świadomości ideowej najszerszych rzesz członków partii, jak i oblicza politycznego jej kierownictwa. Wiemy dobrze, że ta ewolucja nie odbywała się bezproblematycznie, przeciwnie na pewno obfitowała ona w dość zasadnicze spięcia. Jednym z czynników, który sam w sobie stanowił kryterium oceny wewnętrznej krystalizacji politycznej partii, był jej stosunek do sprawy polski-niemieckiej granicy na Odrze i Nysie. Wiemy, że właśnie ci ludzie, którzy zdradzili demokratyczną linię rozwoju CDU i przeszli do Niemiec Zachodnich, by stać się tam filarami antypokojowej i odwetowej polityki Adenauera, od początku zajmowali nie wyraźne a może i nazbyt wyraźne stanowisko w sprawie polsko-niemieckiej granicy pokoju Usiłowali oni narzucić partii stanowisko, stawiające znak zapytania nad problemem granicy, które w rzeczywistości sprowadzało się do wręcz rewizjonistycznych sformułowań. Niedługo też trzeba było czekać, by ci ludzie zeszli w ogóle z platformy Niemiec tworzonych w oparciu o założenie układu poczdamskiego, oraz przeszli na służbę amerykańskiemu imperializmowi sprzęgniętemu z zachodnio-niemieckim szowinizmem.

Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna NRD przezwyciężyła to załamanie. Obecne kierownictwo polityczne partii idzie drogą pełnego współdziałania w walce o jedność Niemiec wszystkich partii Frontu Narodowego. CDU w Niemieckiej Republice Demokratycznej poprzez swój nieprzeciętny wkład w pokojowe i demokratyczne wychowanie narodu niemieckiego, zdobyła sobie poważny autorytet polityczny i wpływ polityczny jako współrządząca, druga co do wielkości i wpływu po Socjalistycznej Partii Jedności, partia polityczna młodej Republiki niemieckiej. Stanowisko partii w sprawie polsko-niemieckiej granicy pokoju jest jasne, zostało ono potwierdzone przez wypowiedzi wszystkich prawie wybitnych przedstawicieli kierownictwa partii z wicepremierem Otto Nuschke, ministrem Dentingerem i Steidle na czele. Zjazd w Meissen, który był okazją zetknięcia się przedstawicieli katolików polskich z najszerszym aktywem partyjnym, pokazał nam, że zrozumienie sprawy granicy pokoju poszło głęboko wśród masy członkowskie Unii Chrześcijańsko - Demokratycznej, oraz że praca uświadamiająca partii w tej dziedzinie jest stanowczo i konsekwentnie kontynuowana.

KILKAKROTNIE już w artykułach omawiających problem niemieckie poruszałem sprawy związane z charakterystyką i oceną działalności Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej w NRD.

Głównym elementem dotychczasowych ocen działalności tej partii z naszych polskich pozycji i z pozycji światopoglądu chrześcijańskiego, było stwierdzenie, że wyraźna linia polityczna CDU nie znajduje swego dostatecznego pogłębienia światopoglądowego i ideologicznego. Okazuje się, że ta świadomość nurtowała także kierownictwo polityczne CDU, właśnie Zjazd w Meissen miał się stać pierwszym krokiem w przezwyciężeniu tego braku.

Toteż oceniając obrady w Meissen z tego punktu widzenia trzeba zdecydowanie podkreślić, że spełniły one swoje zadanie. Pierwszy krok został niewątpliwie uczyniony.

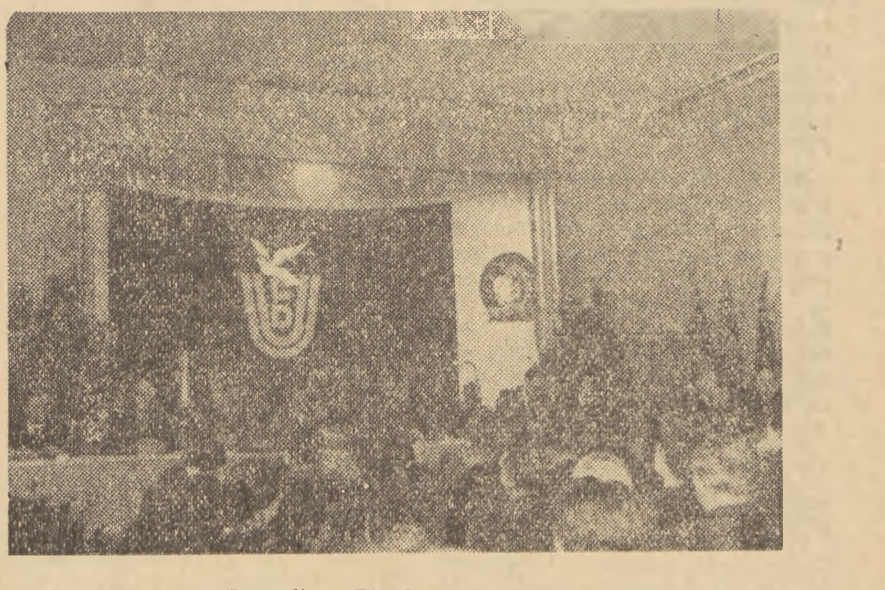
Zjazd w Meissen był zebraniem roboczym o charakterze teoretycznym. Wygłoszono na nim trzy zasadnicze referaty. Pierwszy referat pt. Podstawy chrześcijańskiego realizmu, wygłosił Sekretarz Generalny partii Gerald Goetting. Drugi referat wygłoszony przez Ministra Spraw Zagranicznych NRD Dertingera dotyczył problemu: Realizm chrześcijański a walka o pokój. Trzeci wreszcie referat Sekretarza Stanu NRD Dr-a Toeplitza omawiał problem: Realizm chrześcijański a sprawy życiowe narodu niemieckiego. Wnioski ideologiczne wszystkich trzech referatów zostały zawarte w 22 tezach realizmu chrześcijańskiego przyjętych przez Zjazd.

Cóż miano na myśli w Meissen, definiując pojęcie chrześcijańskiego realizmu. Chodziło tam oczywiście o pojęcie światopoglądowe, najbardziej zasadnicze, choć trzeba przyznać, że sformułowanie tytułów szczególnie dwóch ostatnich referatów nie jest specjalnie szczęśliwe i może nasuwać wątpliwości, o jakie pojęcie realizmu toczy się dyskusja. Także przyjęte tezy dotyczące tak niezmiennych pojęć światopoglądowych chrześcijaństwa jak i zagadnień społeczno-gospodarczych i politycznych raczej nie potrzebnie zostały nazwane: tezami chrześcijańskiego realizmu. Zastrzeżenia te mają oczywiście charakter przede wszystkim formalny, lecz uważam za słuszne ich podkreślenie z uwagi na troskę o precyzyjne posługiwanie się pojęciami, co w koncepcyjnej pracy ideologicznej ma znaczenie pierwszorzędne.

Realizm chrześcijański w rozumieniu tez CDU jest systemem światopoglądowym chrześcijańskim. Chodzi tu więc o dualistyczny pogląd na świat nazywany u nas spirytualizmem chrześcijańskim, który różni się z jednej strony od monizmu idealistycznego, a z drugiej strony od monizmu materialistycznego. Tezy CDU precyzują, że treść tak pojętego realizmu chrześcijańskiego jest określona przez naukę i wzór Chrystusa, że rzeczywistość stworzona jest podporządkowana rzeczywistości Boga Stworzyciela, że Bóg jest praźródłem materii i ducha bytu i świadomości. W ten sposób tezy rozwijają dalej założenia światopoglądowe chrześcijaństwa, by przejść do zagadnień społecznych i politycznych i szukać podstaw ideowych do ich rozstrzygnięcia w treści i duchu religii i światopoglądu chrześcijańskiego. Tezy postulują socjalistyczne odnowienie porządku społecznego i współpracę chrześcijan z marksistami, na tych odcinkach, których nie wyklucza odmienność światopoglądów. Wreszcie tezy mówią o prawie narodu niemieckiego, tak jak każdego innego narodu, do jedności i pokojowego rozwoju.

TEZY chrześcijańskiego realizmu wypracowane w Meissen mają ambicję formułowania pierwszych pogłębień światopoglądowych, czytamy w nich między innymi: „Realistyczna postawa jest niezłomnym fundamentem przekonania, że Stwórca w swojej nieograniczonej dobroci dał człowiekowi do dyspozycji zmysły i rozum, jako narzędzia wystarczające zupełnie do poznania świata"..., „...To przekonanie prowadzi do żądania, aby człowiek niezmordowanie walczył o coraz głębsze poznanie Boga i stworzonej przez niego przyrody. Dlatego chrześcijanin popiera postęp nauki i bezustanne wysiłki i myśl postępu." Nie ulega wątpliwości, że powyższe sformułowania, zawierają cenny i tak bardzo dziś potrzebny chrześcijaństwu ładunek dynamizmu.

Tezy zajmują się także, problemem człowieka, czytamy tam na przykład: „Realistyczna postawa umożliwia chrześcijanowi bardzo trzeźwe osądzenie człowieka i jego możliwości. Jest całkowicie obce chrześcijanowi przedstawianie człowieka, jako istoty doskonałej i jako miary wszystkich rzeczy, tylko dlatego, że jest on stworzony na obraz i podobieństwo Boga. Chrześcijanin widzi człowieka jako grzesznika, jako stworzenie przeznaczone natomiast do najwyższego i zdolne do największych wysiłków twórczych ale też skłaniające się ku złemu"...



Prezydium Zjazdu w Meissen

W ten sposób tezy poruszają cały szereg podstawowych zagadnień chrześcijańskiego światopo-

(Dokończenie na str. 5).

Katolicy wobec nowych zadań

Rola prasy katolickiej wobec zagadnień dnia

W dniu 26 bm. staraniem Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju odbyła się w Warszawie narada przedstawicieli prasy katolickiej poświęcona omówieniu zadań wyłaniających się przed katolickim ruchem wydawniczym na bieżącym etapie walki w obronie pokoju. Na spotkaniu były reprezentowane niemal wszystkie redakcje najważniejszych katolickich periodyków.

M. in. byli obecni przedstawiciele Redakcji: „Życie i Myśl" — Poznań; „Królowa Apostołów" — Poznań, „Głos Karmelu" — Kraków, „Posłaniec Serca Jezusowego" — Kraków, „Polonia Sacra" — Kraków, „Tygodnik Powszechny" — Kraków, „Dziś i Jutro" — Warszawa, „Znak" — Kraków, „Salwator" — Trzebinia, „Gość Niedzielny" — Katowice, „Słowo Powszechne" — Warszawa, „Ład Boży" — Włocławek, „Tygodnik Katolicki" — Gorzów, „Caritas" — Warszawa.

Zebranie zagaił Sekretarz PKOP Stanisław Trepczyński po czym referat zasadniczy wygłosił Jan Dobraczyński. Dobraczyński wnikliwie zanalizował aktualną sytuację na froncie walki w obronie pokoju, poddając surowej krytyce przyczyny potencjalnie sprzyjające rozpętaniu światowego konfliktu. Do takich w pierwszym rzędzie zaliczył mówca kolonializm i podsycanie tendencji rewizjonistycznych w Niemczech Zachodnich przez Amerykanów. Jeżeli idzie o obowiązki wynikające stąd dla nas Dobraczyński sporo uwagi poświęcił problemowi polskiej ludności autochtonicznej na Ziemiach Zachodnich, w której uświadamianiu patriotycznym i przeciwdziałaniu sączącej się z Zachodu antypolskiej propagandzie — doniosłą rolę może spełnić prasa katolicka.

„Będąc katolikami i wyznając inny światopogląd niż marksiści — mówił referent — nie przestaliśmy być Polakami i jesteśmy świadomi faktu, że nie ma szczerej postawy katolickiej bez równoczesnej świadomości patriotycznych zobowiązań".

W dyskusji nad referatem jako pierwszy zabrał głos ks. Owczarek, członek delegacji katolików polskich, która właśnie wróciła z NRD gdzie uczestniczyła w zjeździe Chrześcijańskiej UNII Demokratycznej. Ks. Owczarek podzielił się z zebranymi swymi obserwacjami dotyczącymi szczerości zwrotu jaki się dokonuje w psychice obywateli NRD w stosunku do Polski i jej zachodnich granic.

II-gi sekretarz PKOP red. **Horodyński** w swoim przemówieniu podkreślił konieczność przedyskutowania spraw najbardziej palących dla narodu budującego swoją lepszą przyszłość. Wskazał m. in. na konkretne zadanie prasy katolickiej w dziele kształtowania opinii wierzących obywateli, z których nie wszyscy są dostatecznie uświadomieni co do istotnych przyczyn przeżywanych obecnie trudności gospodarczych. Red Horodyński podkreślił obowiązki prasy w stosunku do duchowieństwa a szczególnie w stosunku do wiejskich księży proboszczów, którzy posiadają bezpośrednią możność wpływania na obywatelskie uświadomienie wiernych. W dalszym ciągu swego przemówienia mówca wezwał zebranych do szczerego wypowiadania swoich uwag zarówno pozytywnych jak i negatywnych.

Wybitny znawca zagadnienia niemieckiego **dr Aleksander Rogalski** z Poznania cytował szereg przykładów polakożerczej aktywności części katolików niemieckich i części niemieckiej hierarchii kościelnej w Niemczech Zachodnich. W dalszym ciągu dyskusji zabierali głos ks. Bancer, redaktor „Tygodnika Powszechnego" — Jerzy Turowicz, redaktor „Znaku" — dr Stanisław Stomma, redaktor „Życia i Myśli" — Głowacki, przedstawiciel „Dziś i Jutra" oraz „Słowa Powszechnego" — red. Wojciech Kętrzyński oraz redaktor pisma „Caritas" Stanisław Podlewski.

Red. Turowicz, wyraził wdzięczność organizatorom zebrania za udostępnienie przedstawicielom prasy katolickiej pożytecznej platformy dla rzeczowej wymiany myśli.

Red. Stomma poświęcił swe przemówienie ukazaniu ścisłych związków zachodzących między sprawą realizacji Porozumienia Kościoła i Państwa a skutecznością walki w obronie pokoju. W imieniu prasy katolickiej w Polsce mówca zadeklarował pełne współdziałanie tej prasy na rzecz stabilizacji stosunków wewnętrznych, w wyjaśnianiu przyczyn trudności gospodarczych i mobilizacji wierzących obywateli do ofiarności i wysiłku produkcyjnego.

Red. Głowacki jako najpilniejsze zadadnie wyłaniające się przed naszą prasą wskazał walkę ze zdarzającymi się jeszcze tu i ówdzie kołtuńskimi nastrojami, że „wojna nie jest straszna", że po niej „bedzie lepiej", że „wrócą czasy przedwojenne".

Wyjaśniając przyczyny trudności w osiąganiu odpowiedniej stopy życiowej — trzeba zdaniem mówcy — odwołać się do patriotycznej odpowiedzialności za naród budujący kosztem dużych wyrzeczeń zręby swojej gospodarczej pomyślności.

Red. Kętrzyński apelował o likwidację dotychczasowych zaniedbań prasy katolickiej, która zdaniem mówcy nie wykazała dotąd dostatecznej inicjatywy w sprawie należytego oświetlenia katolickiego pojmowania problematyki pokoju i wynikających stad praktycznych konsekwencji. „Nie można stawiać zagadnienia tak — że aktywność katolików w ruchu pokoju jest uzależniona od rozwoju stosunków między Kościołem a Państwem. Jest wręcz odwrotnie. To właśnie pomyślny rozwój stosunków zależy od stopnia wkładu katolików w akcie pokoju, która jest sprawdzianem obywatelskiej przydatności".

Podsumowując dyskusję w imieniu organizatorów zebrania — sekretarz PKOP — Stanisław Trepczyński — stwierdził, że „jej przebieg najlepiej świadczy jak bardzo była ona potrzebna". Mówca wskazał, że konflikt między obozem pokoju a obozem wojny nie wynika z różnic światopoglądowych ale z przyczyn ideologiczno-gospodarczych czego dowodem jest chociażby fakt, że katolicy znajdują się i po tej i po tamtej stronie barykady. Problem dostarczenia w miare możności odpowiedniego materiału informacyjnego dla prasy katolickiej musi się spotkać z najprzychylniejszą opinią PKOP.

P. Trepczyński określił te zagadnienia jako „propozycje do przepracowania i do realizacji".

W zakończeniu swej wypowiedzi mówca zaapelował do przedstawicieli prasy katolickiej, żeby przełamywali opinię niektórych katolików osłaniających swoją bierność na odcinku walki o pokój argumentując to tym, że walka o pokój jest walką polityczną.

Po skończonej dyskusji jej uczestnicy mieli możność zapoznania się z zabawkami dla dzieci wyrabianymi w USA i sprzedawanymi tamże oraz w Niemczech Zachodnich. Miniaturowe kajdanki, pałka policyjna, kaczorek Donal strzelający z dwu pistoletów naraz, miniaturowy automat, zegarek z rewolwerem zamiast sekundnika oraz pornograficzne i obrazujące sceny z przyszłej wojny comic-stories — oto rzeczowe dowody ludobójczej dydaktyki stosowanej z powodzeniem przez atlantydów.

M.R

NOTATNIK POLITYCZNY

Wykonując linie porozumienia

Cała katolicka opinia publiczna w Polsce zwróciła na pewno uwagę na dwa znamienne fakty poprzedniego tygodnia: konferencję prasy katolickiej, omawiająca z inicjatywy Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju zadania w stosunku do bieżących problemów polskich, oraz rezolucję, uchwaloną na posiedzeniu Plenum Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy PKOP.

Na obu płaszczyznach, na odcinku prasy katolickiej, oraz na odcinki katolickich działaczy i intelektualistów zrzeszonych w ramach Ruchu Pokoju, omawiana była ta sama problematyka — wzmożenie aktywności ze strony katolików na tych wszystkich odcinkach naszego życia, które dotyczą najżywotniejszych interesów całego narodu. Oto one:

czujność w obliczu wrogich zakusów szowinistycznych ataków na nienaruszalne prawo polskie do Ziem Zachodnich;

wzmożenie wszelkimi dostępnymi dla katolika środkami wysiłków, by poprzeć walkę o pokój na świecie;

konsekwentne budowanie siły i bogactwa własnego kraju przez maksymalny wkład pracy w realizację gospodarczych założeń Planu Sześcioletniego;

szerzenie w całym społeczeństwie poczucia praworządności i dyscypliny, by zwycięsko pokonać bieżące trudności gospodarcze, usilnie rozdmuchiwane przez wrogą interesom narodowym propagandę.

Uczestnicy obu tych konferencji swą postawą dowiedli w sposób oczywisty swego poczucia współodpowiedzialności za sprawy ogólnonarodowe. Ich stanowisko, będące wyrazem świadomego uspołecznienia, upominające się u wszystkich katolików polskich o codzienne zdawanie egzaminu obywatelskiej dojrzałości — jest prostym realizowaniem nakazów chrześcijańskiego światopoglądu. Głosi on obowiązek czynnej miłości bliźniego, a co za tym czynnej postawy w życiu społecznym własnego narodu. Powzięte uchwały i rezolucje nie są też niczym innym, jak konsekwentnym realizowaniem linii generalnej Porozumienia między Kościołem a Państwem.

Jesteśmy głęboko przekonani, że powzięte decyzje energicznego współdziałania tak w zakresie spraw międzynarodowych jak i wewnętrznych w imię wspólnego dobra wszystkich Polaków, zostaną podjęte jak najszerzej przez katolików świeckich i duchownych. Pozytywny wkład bowiem w ważkie dziedziny naszego życia narodowego jest nie tylko utrwaleniem cennej linii Porozumienia, lecz jest również krokiem naprzód na drodze budowania nowych form współżycia różnych światopoglądów w państwie socjalistycznym.

Nie jest też przypadkiem, że obie te akcie oparły się o ramy działalności Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju. Ruch ten bowiem koncentruje dziś bezwątpienia ten zakres problemów, który jest nie tylko wspólny wszystkim Polakom, niezależnie od ich postaw światopogladowych, lecz koncentruje problematykę jednogłośnie uznaną za pierwszorzędnej wagi. Dlatego też właśnie w oparciu o Polski Komitet Obrońców Pokoju rozwijają się inicjatywy, których programem jest budowanie wkładu katolickiego w Ogólnopolski Front Narodowy w walce o Pokój i Plan Sześcioletni.

Zebranie Komisji Głównej Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy PKOP

W dniu 29.X w lokalu Polskiego K.O.P. odbyło się poszerzone plenum Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy P.K.O.P.

W zebraniu udział wzięło dwudziestu księży i świeckich działaczy, m. in.: ks. prof. dr Stanisław Huet, Jan Dobraczyński, prof. dr Aleksander Kunicki (KUL), ks. prof. Jan Piskorz, ks. prof. Lech Ziemski, ks. dr Jan Arcab, red. Ryszard Reiff sekretarz Komisiji Głównej, ks. dziekan Szczepan Ufryjewicz, ks. prof. Wacław Popławski, O. Edward Bała, ks. prob. Tadeusz Romaniuk, ks. prof. Franciszek Byra, ks. Wilhelm Boczek, ks. Paweł Nieużyła, ks. Stanisław Pniewski, ks. Jan Skalski, ks. prof. Lachowski, mec. Zygmunt Prószyński.

Zebraniu przewodniczył dziekan Wydziału Teologii U.W. ks. prof. dr Jan Czuj, przewodniczący Komisji Głównej.

Zagajając zebranie ks. **dziekan** Czuj wezwał zebranych do szczegółowego przedyskutowania zadań wyłaniających się przed katolikami polskimi w związku z wzmaganiem się tendencji rewizjonistycznych w Niemczech Zachodnich i w związku z trudnościami wewnętrznymi na odcinku aprowizacji miast przez wieś. Mówca podkreślił zwłaszcza — odpowiedzialną rolę wiejskich księży proboszczów w dziele łagodzenia tarć i trudności, które muszą być przezwyciężone w akcjach tego rodzaju jak skup i kontraktacja.

Sekretarz Komisji red. Ryszard Reiff złożył następnie rozszerzonemu Prezydium sprawozdanie z działalności Komisji w okresie dzielącym zebranie bieżące od ostatniego spotkania, zwołanego z początkiem września br. z okazji dekoracji członków Komisji odznaczeniami nadanymi przez Prezydenta R. P.

W dalszym ciągu zebrania delegaci na zjazd CDU świeżo powracający z Niemiec Wschodnich podzielili się z zebranymi swoimi wrażeniami z pobytu w NRD. Przewodniczący delegacji ks. prof. **Huet** stwierdził, że znając Niemców wyłącznie z okresu okupacji wyjeżdżał do Niemiec w nastroju pesymistycznym nie przypuszczając, że aż tak wielkie zmiany psychiczne zaszły we wschodniej części Niemiec.

Red. Andrzej Micewski, członek tejże delegacji informował zebranych o ewolucji ideowej i politycznej Chrześcijańskiej-Unii Demokratycznej. Partia ta stojąc dziś twardo na gruncie walki o pokój i zjednoczenie Niemiec, i uznając prawa Polski do ziem nadodrzańskich pracuje obecnie nad krystalizacją zaplecza ideologicznego. „Model układania się stosunków między Kościołem a Państwem w Polsce jest dla chrześcijan niemieckich modelem przykładowym — stwierdza red. Micewski — i musimy sobie uświadomić, że realizacja tego Porozumienia jest nie tylko naszą sprawą wewnętrzną lecz także sprawą naszej odpowiedzialności za przyszłe układanie się stosunków między Kościołem a Państwem na Zachodzie. Jak wielkie ma to znaczenie dla sprawy pokoju i socjalizmu tego nie potrzeba dowodzić".

Ks. Jan Piskorz z Wrocławia przemawiając w dyskusji dał wyraz swemu przekonaniu, że pierwszym zadaniem bieżących obrad winno być przedyskutowanie spraw związanych z akcją propagandy wśród duchowieństwa linii ideowo - politycznej Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich. Mówca wskazał, że świadomość tych spraw jest jeszcze bardzo niepogłębiona...

W dalszym ciągu dyskusji w której wzięło udział szereg księży i świeckich działaczy, wskazywano na ścisły związek jaki istnieje między zagrożeniem interesów polskich ze strony rewizjonistów niemieckich a sprawą wzmagania potencjału gospodarczego i obronności naszego kraju.

Na zakończenie dyskusji uczestnicy zebrania uchwalili następującą rezolucję:

W dniu 29 października 1951 odbyło się w Warszawie zebranie poszerzonego Prezydium Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy Polskim Komitecie Obrońców Pokoju. Zebrani po wyczerpującej dyskusji postanowili podać do wiadomości publicznej następujące oświadczenie:

1. Minął rok od czasu ukonstytuowania się przy Polskim Komitecie Obrońców Pokoju Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich. Komisja nasza powstała w momencie, gdy rozwój wydarzeń w Niemczech Zachodnich w sposób coraz bardziej wyraźny zagrażać począł bezpieczeństwu Polski. Ukonstytuowaliśmy się wówczas, by w miarę naszych sił przeciwstawić się odrodzeniu nowego militaryzmu niemieckiego, by alarmować naszych braci, katolików Francji i Włoch i przede wszystkim, by skuteczniej wskazywać katolikom polskim, że w sytuacji zagrożenia narodowego, patriotyzm nakazuje nam wzmacniać jedność narodu polskiego w obronie pokoju i w trudnym znoju budowania siły naszej Ojczyzny.

2. Niestety, miniony rok przyniósł dalsze zaostrzenie się sytuacji międzynarodowej. Na Korei w dalszym ciągu leje się krew i popełniane są najstraszniejsze zbrodnie na niewinnym narodzie koreańskim. W Niemczech Zachodnich politycy amerykańscy jawnie występują jako protektorzy odwetowych i rewizjonistycznych grup niemieckich. Okupanci zachodni popierają byłych generałów i przemysłowców hitlerowskich, tworzą nowy Wehrmacht, którego zadaniem ma być zniszczenie polskich ziem i zachęcają przywódców politycznych z Bonn do publicznych wystąpień domagających się prawa do zaboru Polski.

3. W tych wojennych i godzących w byt Polski przygotowaniach politycy amerykańscy starają się wprzęgnąć autorytet Watykanu. Brutalność ich posuwa się tak daleko, że ośmielili się mianować generała służby czynnej, Clarka, ambasadorem Stanów Zjednoczonych przy Stolicy Apostolskiej. Po paru dniach nominacja ta została zawieszona, lecz sam fakt takiej próby ilustruje stosunek imperialistów amerykańskich do religijnego posłannictwa Stolicy Piotrowej.

Niestety, wojenne przygotowania amerykańskie znajdują gorące poparcie w części duchowieństwa i hierarchii kościelnej w Niemczech Zachodnich.

4. W ciągu minionego roku zaszło szereg ważnych zmian w sytuacji wewnętrznej Polski. Wobec nowych wielkich zadań stojących przed naszym narodem Prezydent Bolesław Bierut rzucił hasło Frontu Narodowego w walce o Pokój i Plan 6-letni. Wielomiesięczna susza, oraz nienadążanie rozwoju produkcji rolniczej za rozwojem przemysłu wywołały wzrost trudności w dostatecznym zaopatrywaniu pracującej ludności naszego kraju w produkcy konsumpcyjne. Trudności te stara się wygrywać dla swoich celów wroga Polsce propaganda.

5. Wobec tej odpowiedzialnej sytuacji zewnętrznej i wewnętrznej zwracamy się do wszystkich katolików polskich, którym leży na sercu sprawa Ojczyzny, zwracamy się do księży proboszczów, do księży katechetów, do działaczy, pisarzy i publicystów katolickich, do tych wszystkich, którzy kochają Polskę i wierni są wierze katolickiej:

Trzeba wzmóc walkę o pokój na świecie i wszelkimi dostępnymi środkami wspomagać te siły w Niemczech i w Europie, które o pokój walczą!

Trzeba wzmóc walkę o inwestycję gospodarcze Planu 6-letniego, wzmóc wielki wysiłek pomnożenia sił przemysłowych i obronnych Polski.

Musimy jasno i niedwuznacznie odciąć się od postawy tych katolików Niemiec Zachodnich i Stanów Zjednoczonych, którzy widzą swe miejsce w obozie wojny.

Niech wiedzą, że działalność ich uważamy za wrogą nam a dla sprawy Kościoła szkodliwą.

Księża wiejscy, prasa katolicka, działacze katoliccy żyjący na wsi muszą przyczynić się ze wszystkich sił, by wieś polska wypełniła swe zobowiązania w stosunku do Państwa.

My wszyscy musimy wspólną jeszcze bardziej wydajną pracą, wspólną troską i wspólnym wysiłkiem budować jedność całego narodu polskiego wokół podstawowych zasad polskiej racji stanu: obrony pokoju i wzmocnienia sił Ojczyzny!

Janusz ZABŁOCKI

DYSKUSJA O METODZIE

ANACHRONIZM METODY „SAKRALNEJ"

W „DZIŚ I JUTRO" z dnia 15 lipca br. ukazał się interesujący artykuł Konstantego Łubieńskiego pt. „O rewizję metody", potraktowany przez autora jako „rozważania do dyskusji". Nie będziemy chyba posądzeni o przesadę, jeżeli stwierdzimy, że artykuł ten jest wskaźnikiem postępującego dojrzewania społecznie postępowej myśli katolickiej w Polsce. Jest on bowiem sygnałem, że od fazy „partyzantki intelektualnej", polegającej na nieuporządkowanym w istocie przepracowaniu zagadnień szczegółowych przechodzi ona w fazę poszukiwania metody systematycznej pracy. Toteż trudno bez zdziwienia przyjąć fakt, że mimo upływu przeszło trzech miesięcy od publikacji artykułu, jego tezy nie spotkały się w prasie katolickiej z żadnym oddźwiękiem. Milczenie to jest tym bardziej niepokojące, że przecież tezy te dotyczą zagadnienia niemałej wagi, a postulaty proponowane przez Łubieńskiego w sposób bardzo od ważny kwestionują dotychczas panującą metodę tworzenia katolickiej myśli społecznej.

Moje wystąpienie w roli pierwszego dyskutanta uzasadnione jest tym, że — chociaż widzę nie domagania obecnie przyjętej metody — to jednak postulat tej zmiany proponowany przez Łubieńskiego wydaje się niesłuszny, budząc w szczególności wątpliwość czy jest on zgodny z ogólną tendencją rozwojową współczesnej myśli katolickiej. Podejmując ocenę krytyczną tez Łubieńskiego żywię nadzieję, że rozważania te może przyczynią się do skierowania uwagi na poruszone przez niego zagadnienia i do wzbudzenia dyskusji.

DWIE METODY

NA WSTĘPIE należy podkreślić, że przyjmuję w zupełności punkt wyjścia rozumowania Łubieńskiego. Punktem tym jest założenie, że katolicka doktryna społeczna nie jest jakimś szczegółowym wzorcem „katolickiego" ustroju, jest *natomiast zespołem ogólnych norm* obowiązujących w każdym ustroju społecznym na przestrzeni historii.

Skąd się biorą te ogólne normy? tutaj. — również nie popadając w niezgodę z Łubieńskim— trzeba wymienić dwa źródła tych norm: ta sama myśl Boża jest bądź objawiona nam wprost przez samego Boga, przyjmując wtedy postać *pozytywnego prawa Bożego*, bądź też utajona jest w naturze ludzkiej w postaci *prawa naturalnego*, czekając aż człowiek odkryje ją sam siłami własnego rozumu. O ile wykładnią prawa zawartego w Objawieniu zajmuje się teologia, o tyle odkrycie prawa zawartego w naturze ludzkiej jest zadaniem filozofii. I aczkolwiek źródła te są różne, to przecież sprzeczność między nimi być nie może, ponieważ oba wyrażają to samo odwieczne prawo Boże.

W naszych czasach stosunek między tymi dwoma źródłami norm katolickiej doktryny społecznej pojmowany jest tak, że za źródło podstawowe, przyjęto prawo naturalne. Pozytywne prawo Boże spełnia natomiast jedynie rolę normy negatywnej, sprawdzając, czy wyniki rozumowego poznania prawa naturalnego nie są obciążone błędem, co wyrażałoby się sprzecznością z Objawieniem. Inaczej mówiąc katolicka doktryna społeczna jest *wytworem rozumu ludzkiego;* Objawienie jedynie koryguje pracą rozumu, wkraczając tylko ratione peccati, tzn. w wypadkach, gdy popełnione w niej błędy zagrażają nadrzędnemu dobru duchowemu.

Ta właśnie metoda tworzenia katolickiej doktryny społecznej staje się przedmiotem krytyki Łubieńskiego. Jeżeli poszukiwania intelektualne katolików szły dotąd w kierunku wypracowywania jakiegoś szczegółowego „katolickiego" ustroju społecznego, powodując nadmierne angażowanie katolicyzmu w sprawy polityczne, to — zdaniem autora „O rewizję metody" — „jedną z głównych przyczyn jest metoda stosowana obecnie w pracach nad katolicką myślą społeczną", metoda, którą wyżej scharakteryzowaliśmy. Dlatego Łubieński postuluje konieczność jej rewizji. *„Rewizja polegałaby na przyjęciu jako podstawowego źródła katolickiej myśli społecznej nie prawa natury, lecz pozytywnego prawa Bożego*, ponieważ pozytywne prawo Boże — a więc Pismo Św. i tradycja — mimo, że wskazania w nich zawarte są ogólne, to jednak są znacznie bardziej sprecyzowane aniżeli wskazania wynikające z dotychczas określonej treści prawa natury" (podkr. m.).

JEST TO więc niejako odwrócenie obecnej metody. Pozytywne prawo Boże rozszerza zakres swojej właściwości; gdy dotąd określało *ramy* dla rozumowego tworzenia doktryny teraz ma określać *treść* samej doktryny. O ile dawniej do doktryny należeć mogło to do czego doszedł rozum i co było *niesprzeczne* z pozytywnym prawem Bożym o tyle teraz może należeć tylko to, *co jest zawarte w tym prawie.* Prawo naturalne, choć nie będzie całkiem wyeliminowane, ma mieć jedynie charakter pomocniczy. Korygująca funkcja pozytywnego prawa Bożego, a więc funkcja niejako czynnika drugiej instancji, zostaje zmieniona w funkcję samego określania treści, a więc w funkcje czynnika pierwszej instancji. Nie trudno dostrzec, że w tej koncepcji katolicka doktryna społeczna nie jest już wytworem rozumu, ale Prawdą Objawioną. Nie jest ona już pochodzenia przyrodzonego (a tylko niesprzeczną z Objawieniem); jest ona *pochodzenia nadprzyrodzonego* jak samo Objawienie.

Od tego miejsca gdzie Łubieński porzuca obecnie przyjętą metodę pracy nad doktryną, nasze drogi rozchodzą się. Uzasadnienie jego kroku, a więc twierdzenie jakoby pozytywne prawo Boże było czymś „znacznie bardziej sprecyzowanym" od prawa naturalnego i wykluczało tym samym możliwość dowolnych interpretacji, wydaje mi się pozbawione podstaw. Fakty historyczne mówią same za siebie jak rozmaicie interpretowane były społeczne wskazania Pisma św. i tradycji. Jak przypomina Mounier taki np. tekst „oddajcie cesarzowi co cesarskie a Bogu co boskie" służył kolejno dla usprawiedliwienia teokracji i rozdziału Kościoła od państwa, demokracji i jedynowładztwa [1]). Przypomnijmy sobie również, jak to konserwatyści powołując się na cytat „ubogich zawsze z sobą macie" zawłaszczali Objawienie dla programu reakcji społecznej, jak to „Sillon" uważało tę samą Ewangelię za niezrównany wykład ideałów demokracji mieszczańskiej, a współczesny nam dziekan Canterbury, Hawlett Johnson, z ewangelicznych przypowieści o robotnikach w winnicy i talentach wysnuwa wniosek. że najpełniejszą realizację nauki Chrystusa przynosi komunizm.

Tak więc twierdzę, że to nie przyjęta metoda leży u podstaw współczesnego impasu katolickiej myśli społecznej. Zmiana jej na inną niczego nie naprawi. Więcej, przyjęcie proponowanej przez Łubieńskiego metody byłoby, moim zdaniem, we współczesnych warunkach anachronizmem, ponownym zamazaniem klarującego się w umysłowości katolików rozróżnienia domeny religii od domeny polityki, cofnięciem się do wulgarnego pomieszania tych pojęć — pomieszania, które było w stanie znosić jednolicie chrześcijańskie i ożywione tchnieniem nadprzyrodzoności średniowiecze, ale które byłoby zabójcze w czasach dzisiejszych.

POWIERZCHOWNY czytelnik, zadowalający się stwierdzeniem, że przecież między treścią prawa naturalnego, a treścią pozytywnego prawa Bożego różnic być nie może, mógłby zagadnienie wyboru między tymi dwoma metodami zbagatelizować, uznając je za jakieś metodologiczne rozszczepienia włosa bez praktycznego znaczenia. Tak jednak nie jest. Przyjęcie tej czy innej metody nie może zmienić treści katolickiej doktryny społecznej, natomiast nie jest bez znaczenia dla praktycznych możliwości realizacyjnych, jakie przed tą doktryną stają na określonym odcinku historii. Przyjęcie metody proponowanej w artykule „O rewizję metody" musiałoby pociągnąć za sobą następstwa pod tym względem szkodliwe, co postaram się niżej wykazać.

POWRÓT DO ŚREDNIOWIECZA CZY NADZIEJA NA PRZYSZŁOŚĆ

NALEŻY zacząć od tego, że wybór między tymi dwiema metodami nie jest czymś całkowicie dowolnym; przyjęcie lub odrzucenie danej metody jest uwarunkowane historycznie, związane z konkretnym etapem rozwoju myśli chrześcijańskiej, mówiąc zaś ściśle — z panującym w danym okresie chrześcijańskim ideałem cywilizacji.

W średniowieczu ideałem dominującym, choć nigdy w pełni nie zrealizowanym był ideał podporządkowania całokształtu cywilizacji (a więc i stosunków społecznych) wprost Bogu, a więc teocentryczny ideał Sacrum Imperium, ideał cywilizacji sakralnej ożywiony dążeniem do budowy Królestwa Bożego na ziemi. Skoro cywilizacja (a więc i stosunki społeczne) miały służyć wprost Bogu, należało poznać Jego wolę, wyrażoną w Objawieniu. Tak więc pozytywne prawo Boże wykładane przez teologię i władzę kościelną urastało do rzędu podstawowego źródła chrześcijańskiej doktryny społecznej.

Wiemy, że w okresie późniejszym, który zapoczątkowany przez Oświecenie trwa aż dotąd, ten teocentryczny ideał cywilizacji załamał się i ustąpił stopniowo miejsca innemu — ideałowi humanizmu antropocentrycznego, według którego ośrodkiem i najwyższą wartością dla cywilizacji jest sam człowiek, aczkolwiek rozmaicie przez różne szkoły pojmowany.

Przed współczesną myślą katolicką, która pragnie podjąć zadanie odrodzenia chrześcijaństwa w świecie nowoczesnym stanął zasadniczy dylemat: czy ideałem cywilizacji, ma być przywrócony ze średniowiecza ideał cywilizacji sakralnej? Czy też może uwzględniwszy te wszystkie zmiany, które się od czasu średniowiecza dokonały, należy stworzyć nowy chrześcijański ideał cywilizacji, któryby stosował zasady przyświecające średniowieczu, już nie w sposób jednoznaczny, ale w sposób analogiczny, tj. dostosowany do klimatu naszych czasów? Wiemy, że znaczna większość myślicieli katolickich współczesnej doby przychyla się do tego drugiego stanowiska. Czołowy przedstawiciel tego kierunku Jakub Maritain, biorąc pod uwagę trwałe przeobrażenia dokonane przez wieki nowożytne w świadomości ludzkiej oraz fakt rozbicia religijnego krajów chrześcijańskich, określa ten nowy chrześcijański ideał cywilizacji mianem humanizmu teocentrycznego. W przeciwieństwie do dawnej cywilizacji sakralnej średniowiecza będzie to cywilizacja świecka podporządkowana człowiekowi, ale człowiekowi rozumianemu na sposób chrześcijański, a więc osobie ludzkiej. O ile ideał sakralny głosił *podporządkowanie cywilizacji wprost Bogu*, o tyle ideał świecki głosi *podporządkowanie cywilizacji osobie ludzkiej*, zakładając równocześnie — już poza sferą cywilizacji — podporządkowanie osoby ludzkiej Bogu. „Celem działalności świeckiej chrześcijanina, nie jest przerobienie tego świata jako takiego na Królestwo Boże; ale jest tym celem zrobienie ze świata — wedle ideału historycznego jaki wskazują kolejne jego fazy i, że tak powiem, zmiany skóry, miejsca dla życia ziemskiego, prawdziwie ludzkiego" [2]).

To „zeświecczenie" chrześcijańskiego ideału cywilizacji pociąga za sobą w logicznym następstwie również „zeświecczenie" metody tworzenia doktryny społecznej. Nie jest przypadkiem, że punkt ciężkości przenosi się z pozytywnego prawa Bożego na prawo naturalne. Jeżeli bowiem cywilizacja (a więc ustrój społeczny) mają być podporządkowane osobie ludzkiej, to należy przecież odkryć prawdę o naturze człowieka, odkryć naturalne prawa tej osoby, by uczynić z nich zasady obowiązujące życie społeczne.

Otóż, jeżeli się uzna, że przemiany, które się dokonały od czasów średniowiecza nie są przypadkowym zakłóceniem prawidłowości rozwoju historycznego, ale przeciwnie, wyrazem tej prawidłowości, jeżeli innymi słowy, uzna się średniowieczny ideał cywilizacyjny za należący do niepowrotnej przeszłości i zrozumie konieczność przyjęcia w jego miejsce nowego, dostosowanego do klimatu naszych czasów, w takim wypadku równoczesne przyjmowanie „sakralnej" metody tworzenia doktryny społecznej jest świadectwem wewnętrznej sprzeczności. Nie trudno dostrzec, że rewizja metody proponowana przez Łubieńskiego społecznie postępowej myśli katolickiej jest obciążona taką właśnie wewnętrzną sprzecznością. Nie trudno dostrzec, że wbrew świadomości i zamierzeniom autora — proponowany przez niego kierunek jest przeciwny tym postępowym tendencjom w katolicyzmie współczesnym, które usiłują związać poczynania i nadzieje katolików nie z powrotem do przeszłości ale z przyszłością.

PATRONAT DUCHOWIEŃSTWA CZY INICJATYWA ŚWIECKICH?

WYBÓR między przedstawionymi wyżej metodami tworzenia katolickiej doktryny społecznej pociąga za sobą jeszcze dalsze następstwa praktyczne.

Uznanie za podstawowe źródło pozytywnego prawa Bożego, a więc przyzwolenie na to, by nauka Kościoła ingerowała w prace nad katolicką doktryną społeczną, bezpośrednio już nie tylko ratione peccati, ale by w sposób systematyczny i ciągły jej treść określała, musi doprowadzić do rozszerzenia roli duchowieństwa w działalności politycznej katolików. Jest to zupełnie zrozumiałe. O ile bowiem w wypadku metody „świeckiej" zadaniem jego była *kontrola niesprzeczności* tworzonej przez rozum doktryny społecznej z Objawieniem, to w wypadku metody „sakralnej" zadaniem jego byłby *pozytywny wkład* tej doktryny.

O ile błąd popełniony w pracach nad prawem naturalnym doprowadził by co najwyżej *do błędnego zrozumienia natury ludzkiej* (zostając zresztą natychmiast wytknięty i sprostowany przez normę negatywną pozytywnego prawa Bożego), o tyle błąd popełniony w pracach nad pozytywnym prawem Bożym mógłby doprowadzić do skutków znacznie poważniejszych, bo *do błędnego zrozumienia Objawienia*, co groziłoby nadużyciem autorytetu katolicyzmu albo herezją. Nic przeto dziwnego, że władze kościelne — oddając świeckim do eksploatacji to źródło wiedzy o katolickiej doktrynie społecznej, którym jest poznanie natury ludzkiej (choć zachowują zarazem kontrolę niesprzeczności jego wyników z Objawieniem) — równocześnie monopolizują niejako w swoim ręku drugie źródło, rezerwując sobie prawo autentycznej wykładni Pisma Św. i tradycji Kościoła.

Z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że w obecnej sytuacji katolicyzmu, charakteryzującej się jego nieobecnością w tworzącym się nowym świecie, pełnienie jego misji społecznej wymaga od katolików najwyższego napięcia odwagi i zdolności do podejmowania ryzyka. Zbyt daleko idący patronat duchowieństwa nad inicjatywą społeczną katolików — niezależnie od niebezpieczeństwa odrywania go od jego właściwych zadań — nie sprzyja wykrzesaniu takiej śmiałości i gotowości do ryzyka na skutek tak charakterystycznej ostrożności jego i powściągliwości, uzasadnionej obawą przed angażowaniem autorytetu Kościoła w przedsięwzięcia całkowicie doczesne. Stąd więc niezbędna wydaje się szersza niż

(Dokończenie na str. 5)

[1]) E. Mounier — „Wiara chrześcijańska a cywilizacja".

[2]) J. Maritain—„Humanisme intégral".

Aleksander ROGALSKI

MARTIN NIEMOELLER

Wśród licznych wybitnych osobistości niemieckiego świata religijnego niewątpliwie na jedno z pierwszych miejsc wysuwa się Martin Niemoeller. Można zajmować takie czy inne stanowisko wobec Niemoellera — nie wszystko, co on głosi, wydaje się słuszne — ale nie podobna odmówić mu odwagi i bardzo poważnego traktowania posłannictwa chrześcijańskiego, a więc dwu rzeczy, które nie należą do zbyt pospolitych cnót chrześcijan niemieckich.

Sylwetka moralna pastora Niemoellera zarysowała się wyraziście w pierwszych latach panowania Hitlera, kiedy to przeciwstawił się on z całą energią narzuconemu przez reżim i popieranemu wszelkimi środkami w łonie Kościoła ewangelickiego — rasistowskiemu i nacjonalistycznemu ruchowi tzw. Niemieckich Chrześcijan i skupił młode przeważnie żywioły protestanckie, wiernie opowiadające się za niesfałszowaną prawdą Ewangelii w tzw. „Kościele wyznawców", Bekennende Kirche, jako jeden z głównych jego przywódców. On był również — wraz z zamordowanym na krótko przed upadkiem Rzeszy w 1945 r. pastorem Dietrichem Bonhöfferem, duszą akcji protestacyjnej przeciwko wyniesieniu na tron biskupi w luterskim mieście Wittemberg pupila Hitlera, Ludwiga Müllera. Z powodu wydanego przez „biskupa Rzeszy" rozporządzenia zabraniającego członkom „Kościoła wyznawców" odbywania religijnych zgromadzeń w budynkach kościelnych Martin Niemoeller i jego przyjaciele występowali w 10 największych publicznych salach Berlina pod strażą policji wzywając tłumy słuchaczy, aby zachowali wierność słowu Chrystusa i pełni poczucia odpowiedzialności przed Bogiem dawali świadectwo radosnej Nowinie.

Lecz najsilniejszym ogniskiem ruchu oporu w łonie kościoła ewangelickiego przeciwko hitleryzmowi była parafia Niemoellera, mieszcząca się na przedmieściu Berlina, Dahlem. Kazalnica dahlemska stała się w oczach całych Niemiec symbolem protestanckiej opozycji przeciwko Trzeciej Rzeszy. Niemoeller, nawet złożony przez Hitlera z urzędu, nie przestawał z niej słać słów protestu, buntu i odwagi, które walnie przyczyniły się do tego, że bądź co bądź mniej więcej jedna trzecia kościoła ewangelickiego zachowała wierność wobec swoich zasad.

Pewnego dnia wybuchła bomba w mieszkaniu pastora Niemoellera, a ponieważ okazała się ona bezskuteczna, niedługo potem został on aresztowany i osadzony w więzieniu. Stało się to w czerwcu 1937 r. Cztery dni przedtem wygłosił Niemoeller w Dahlem kazanie, w którym powiedział: „Nie powinniśmy pytać się, w jakiej mierze ufamy sobie, lecz czy ufamy słowu Bożemu. Powinniśmy słuchać raczej Boga aniżeli ludzi." Te słowa pastora Niemoellera stanowiły odtąd dewizę „Kościoła wyznawców" w jego wieloletniej walce, działalności i cierpieniu.

W owym czasie wydrukowano setki tysięcy egzemplarzy podobizny Niemoellera, które jeszcze dzisiaj podobno znaleźć można w licznych domach członków „Kościoła wyznawców". Śledztwo zakończyło się stwierdzeniem braku winy Niemoellera. O takim wyniku dochodzeń przeciwko Niemoellerowi powiadomieni natychmiast telefonicznie wszyscy niemal pastorzy należy do „Kościoła wyznawców" zarządzili na znak radości bicie w dzwony. Lecz Niemoeller nie wyszedł na wolność, ponieważ opiekę nad nim przejęło od razu Gestapo, wysyłając go bez sądu do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Hitler nie mógł przebaczyć Niemoellerowi, że w dniu 26 stycznia 1934 w czasie rozmowy między rządem Rzeszy a delegacją Kościoła ewangelickiego przeciwstawił mu się jasno i ostro on jeden jedyny, gdy tymczasem inni przywódcy Kościoła opowiedzieli się za marionetkowym „Reichsbischopem".

Aż do upadku ustroju hitlerowskiego przesiedział w obozie koncentracyjnym ten były komendant łodzi podwodnej z I wojny światowej, urodzony w 1892 r., posługujący się później chętnie w swych wystąpieniach publicznych surową mową żołnierską, którą tak szokował dostojne audytorium eklezjastyczne.

Z kaźni hitlerowskiej wyszedł pastor Niemoeller niezłamany i od razu podjął niezwykle żywą i wielostronną działalność religijną oraz społeczną. Każde jego niemal publiczne wystąpienie budziło silny rezonans zarówno w obozie protestanckim jak i katolickim, tak w Niemczech jak i za granicą. Ich serię rozpoczął już w czerwcu 1945 na konferencji Kościołów protestanckich w Treysie. Na konferencji tej wystąpiło u większości uczestników pragnienie powrotu do nałogów myślowych sprzed 1933 r., czemu Niemoeller i pozostali przedstawiciele Kościoła wyznawców przeciwstawili bezwzględną konieczność całkowitego odrodzenia dowodząc, że narodowy socjalizm zbyt przemożny wpływ wywarł na mentalność niemiecką, by Kościół ewangelicki mógł w dalszym ciągu tkwić w tej rutynie teologicznej i hierarchicznej, która przygotowała drogę złu. W Treysie wybrany został Niemoeller wiceprzewodniczącym Kościoła ewangelickiego w Niemczech. Tam też ustalono wytyczne tzw. „deklaracji stuttgarckiej" z października 1945 o winie narodu niemieckiego: głównym jej sygnariuszem znowu był Niemoeller.

Wina Niemiec — to był główny temat publicznych przemówień pastora Niemoellera w owym pierwszym okresie po wojnie. Obwiniał swój naród zarówno jak i w szczególności Kościół ewangelicki o to, że nie użył wszystkich środków w oporze wobec Hitlera, że zbyt był wobec niego uległy. Podobne tezy wywołały szybko rozczarowanie co do jego osoby u tych Niemców, którzy mieli zamiar pierwotnie posłużyć się nim jako parawanem i afiszować się jako wyrazem resztek ich własnego „dobrego sumienia."

Rada luterska, organ kierowniczy w „Kościele wyznawców", wy pracowała wskazania dla narodu w nowej epoce jego dziejów, starając się przekonać go o tym, że nigdy jeszcze nie otwierało się przed nim takie pole dla wyboru własnego losu duchowego i w pewnej mierze materialnego jak w obecnej chwili, jeśli tylko znajdzie on w sobie odwagę uznania tego faktu. „Kościół wyznawców" nie przestaje po dziś dzień ukazywać linii rozwoju wypływających nie z oportunizmu politycznego lub z takich czy innych wariantów historii, lecz z prawdy Pisma Świętego. Ale „Kościół wyznawców" nigdy nie sprecyzował swych koncepcji politycznych w sposób pozytywny z za sadniczej obawy, aby nie być pomówionym o chęć restaurowania przeszłości, w której ocukrzony protestantyzm był poręczycielem państwa burżuazyjnego. Przyjmuje on raczej rolę czujnego cenzora błędów polityki aniżeli jej stróża. Na stępstwem takiej postawy jednak jest pewna nierealność i naiwność.

W 1947 r. (po swej głośnej podróży do Stanów Zjednoczonych) Martin Niemoeller został prezydentem Kościoła luterskiego w prowincji Hesse-Nassau odrzucając przysługujący mu tytuł biskupa, ponieważ tytuł ten — jak się dosłownie wyraził — „nasiąkł brzydkim zapachem „Trzeciej Rzeszy". Powierzono mu jednocześnie ważny urząd kierownika wydziału zagranicznego w Radzie Kościoła ewangelickiego. W dwa lata później rozpoczęła się stała interwencja Niemoellera w życie publiczne Niemiec podzielonych już wówczas sztuczną granicą i żyjących pod znakiem problemu remilitaryzacji. Stanowcze potępienie przezeń zbrojeniowej polityki Adenauera, które znalazło wyraz w jego głośnym liście otwartym do „kanclerza" republiki związkowej z dnia 11 października 1950 r. otworzyło oczy wielu niemieckim protestantom w Niemczech zachodnich na zagrażające im śmiertelne niebezpieczeństwo, a jednocześnie zapoczątkowało mobilizację żywiołów chrześcijańskich dla utrzymania pokoju w imię Ewangelii. Niemoeller odrzuca głoszoną przez Anglo-Amerykanów ideę krucjaty przeciw komunizmowi, ponieważ widzi w niej jedynie ordynarną mistyfikację: „Mit Zachodu chrześcijańskiego — oświadczył Niemoeller — winien być odrzucony przez każdy Kościół żyjący słowem Bożym jako romantyczne zamaskowanie polityki władzy doczesnej."

Powstanie tzw. republiki federalnej z siedzibą w Bonn wywołało u Niemoellera głęboką niechęć. Przedstawiciele strony katolickiej utrzymują, że na niechęć tę wpłynęła również awersja Niemoellera do katolicyzmu, której wyraz znajdują oni w jego oświadczeniach. Wprawdzie później Niemoeller wiele z nich odwołał publicznie, gdyż stwierdził, że wyzyskano je dla skłócenia protestantów z katolikami, nie przestał jednak mówić o „drugiej kontrreformacji", która przystępuje do „rekatolicyzacji Niemiec", o „przegraniu bitwy przez protestantyzm". Lecz ludzie orientujący się w istocie rzeczy, dopatrują się w antykatolicyzmie Niemoellera raczej charakteru politycznego aniżeli religijnego.

Niemniej jednak pozostaje faktem, że Martin Niemoeller stał się ze swojego protestanckiego punktu widzenia, wyrazicielem trosk i poglądów społeczeństwa niemieckiego, nękanego niedostatkiem i strachem przed nową pożogą wojenną, przed nowymi ofiarami i przed jeszcze większą nędzą. Gdy Niemoeller dowodzi, iż w wypadku alternatywy między trwałym podziałem Niemiec a zjednoczeniem Niemiec pod egidą komunistyczną Niemcy powinni wybrać zjednoczenie, gdy oświadcza on, że nie sądzi, by „ryzyko" komunizmu było bardzo złym ryzykiem i by znalezienie się Kościoła w świecie komunistycznym nie wyszło koniec końców na dobre Kościołowi, i gdy wreszcie obiecuje milion marek nagrody temu, kto mu dowiedzie, że przygotowanie wojny przeciwko komunizmowi znajduje oparcie w Piśmie świętym, dodając, iż obowiązkiem Kościoła „jest służyć komunistom, podobnie jak wszystkim innym istotom ludzkim" — wówczas słowa jego słuchane są z niezwykłą uwagą i wewnętrznym aplauzem przez szerokie rzesze w Niemczech zachodnich wbrew wysiłkom prowojennej i antyradzieckiej prasy adenauerowskiej. Bardzo popularną postacią stał się Niemoeller również w Niemieckiej Republice Demokratycznej, a jego wspomniany już list otwarty do Adenauera przeciwko wciągnięciu Niemiec w agresywne plany Anglo-Amerykanów rozszedł się tam w milionowych odbitkach. O jego popularności w NRD świadczy również i to, że jedno z miast turyńskich, mianowicie Altenburg, jedną ze swoich ulic nazwało nazwiskiem Niemoellera.

W listopadzie ubiegłego roku odbyła się w Berlinie konferencja Rady dwunastu luterskich Kościołów niemieckich dla zajęcia stanowiska wobec antymilitaryzacyjnych wystąpień Niemoellera, ponieważ była ona zdania, że choć wystąpienia te wyrażały jego osobiste poglądy, to jednak z uwagi na jego moralną i hierarchiczną pozycję angażowały cały Kościół ewangelicki. Był to rodzaj sądu nad Niemoellerem, sądu, który jednak zakończył się ogłoszeniem wyroku bardzo korzystnego dla Niemoellera. Albowiem po 12-godzinnej debacie uchwalono rezolucję, w której Rada uznała wagę wystąpień Niemoellera, choć wyraziła ubolewanie z powodu zbyt ostrego tonu niektórych jego przemówień i upomniała duchownych, aby trzymali się jak najdalej od polityki, zapewniła Niemoellerowi swobodę w jego politycznym działaniu oraz zatwierdziła go na stanowisku wiceprzewodniczącego Rady Kościołów niemieckich. Rezolucja ta była świadectwem, że w łonie Kościoła ewangelickiego w Niemczech dokonuje się poważny proces. Przywódcy Kościoła ewangelickiego na zachodzie Niemiec skrępowani są tym, że nie mogą się obyć bez pomocy materialnej ze strony potężnych Kościołów amerykańskich, po woduje to automatycznie ich uzależnienie się od wielkiego kapitału. Uwikłany w interesy klas, grup i przemysłu protestantyzm niemiecki zbytnio marzy jeszcze o minionej świetności nie stanowiąc tej siły duchowej, którą chciałby go obdarzyć Niemoeller.

A jednak wysiłki jego i przykład nie pozostają bezowocne, bo oto jednym z najważniejszych wydarzeń, jakie zaszły na terenie protestantyzmu niemieckiego w ostatnim czasie, było postanowienie Drugiego Synodu Krajowego Kościoła Ewangelickiego w Nadrenii. Postanowienie to wskazuje, że linia Niemoellera zaczyna coraz bardziej krystalizować nową realną postawę polityczną protestantyzmu niemieckiego. Dowodzi tego choćby następujące zdanie rezolucji Synodu:

„Całe chrześcijaństwo modli się w każdym nabożeństwie o pokój na świecie. W ustanowieniu i utrzymaniu pokoju widzi ono najważniejsze zadanie mężów stanu wszystkich narodów... Synod musi zapytywać każdego, czy remilitaryzacja Niemiec służy w obecnej sytuacji pokojowi... Naród niemiecki w dwóch wojnach światowych stracił wielu najlepszych swych synów. Jego ład społeczny i moralny został zniszczony. Remilitaryzacja w zarodku zagraża jego woli odbudowy. Nie wierzymy w to, by naród nasz zdołał znieść zewnętrzne i wewnętrzne obciążenia ponownych zbrojeń, bądź też nowej wojny światowej... Prosimy rządy niemieckie i partie, aby były świadome tego, że przy decyzji o kwestii pokoju lub dozbrojenia idzie o los całego narodu niemieckiego."

Aleksander Rogalski

NOTKI KULTURALNE

W Paryżu czynione są przygotowania do organizacji specjalnego teatru, w którym grane będą sztuki wyłącznie autorów zagranicznych. W większości będą one wykonywane w oryginalnym języku danego utworu.

Inicjatorem tego międzynarodowego teatru jest Max Barrault, brat znanego artysty Jean Louis Barrault. Teatr międzynarodowy będzie nosił nazwę „Babylone". Program jego jest przewidziany z góry na 10 lat. Jako pierwsze wystawione będą sztuki w języku angielskim, niemieckim i hiszpańskim.

×

Według oficjalnych danych statystycznych francuskiego krajowego centrum kinematograficznego liczba widzów w kinach w sezonie 1949/50 wynosiła 370 milionów, co stanowiło spadek ogólnej frekwencji o 50 milionów osób w stosunku do sezonu 1946/47. (420 milionów widzów).

×

Z okazji 2000-lecia Paryża zostanie tam otwarte Muzeum Paryża. Muzeum to zgromadzi pamiątki dotyczące historii miasta, figury woskowe dawnych znanych osobistości Paryża oraz wiele innych zabytków przeszłości.

×

Znany radziecki dramaturg Borys Ławrentiew obchodził w ubiegłym miesiącu 60-lecie urodzin i 40-lecie swej pracy pisarskiej.

×

W Moskwie odbywają się pierwsze eliminacje w Konkursie solistów śpiewaków. Do konkursu stanęło 75 śpiewaczek i śpiewaków. Z pierwszych eliminacji wyszło zwycięsko 29 śpiewaków.

×

W r. b. obchodzimy 375-lecie śmierci wielkiego artysty malarza włoskiego, Tycjana.

×

W Czechosłowacji już wkrótce wejdą na ekrany dwa filmy biograficzne: Mikolas Ales (biografia sławnego malarza czeskiego z XIX w.) oraz „Wielka przygoda" — historia dr Holuba, czeskiego podróżnika.

×

Pablo Picasso, wielki malarz hiszpański, obchodził w październiku r. b. 70-lecie swych urodzin.

×

W Dijon (Francja) zmarł w październiku r. b. w wieku lat 83 prof. Louis Bréhier — autor ponad 300 prac w większości poświęconych historii Bizancjum.

×

Nagroda Nobla w dziedzinie medycyny została przyznana mikrobiologowi z Południowej Afryki, Maxowi Theiler za prace jego nad żółtą febrą.

×

Życie teatralne w Rumunii rozwija się. W pierwszym półroczu r.b. teatry rumuńskie dały 6.485 przedstawień (sezon 1938/39 — 2.828) przy 2.733.773 widzach (1938/39 — 1.430.120 widzów).

×

Do r. 1944 w Rumunii było przeszło 3 miliony analfabetów, t. zn. 23,1 proc. ogółu ludności. W r. 1949/50 nauczyło się czytać i pisać 669.445 osób.

×

W r. b. Rumunia obchodzi 100-lecie urodzin pisarza Ion Luca Caragiale, autora sztuki „Zagubiony list".

×

W r. b. podczas ostatniej naukowej wyprawy podbiegunowej na Grenlandię dwu jej uczestników uległo wypadkowi śmiertelnemu: francuski kierownik sekcji sejsmicznej Alain Joset oraz przedstawiciel rządu duńskiego.

ZJAZD W MEISSEN

glądu, jego stosunku do współczesności, oraz definiują stanowisko chrześcijan niemieckich w walce narodu niemieckiego o pokój, jedność i sprawiedliwość społeczną. Będziemy mieli zapewne jeszcze okazję zająć się tymi tezami bardziej szczegółowo.

OCENA tez CDU przyjętych na Zjeździe w Meissen musi uwzględniać dwa zasadnicze czynniki. Po pierwsze Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna w NRD jest partią polityczną zrzeszającą chrześcijan



Ruiny ratusza w Dreźnie

różnych wyznań, a więc zarówno katolików jak i protestantów. Problem ten znalazł swoje odbicie w tezach, w których czytamy, że zadaniem partii chrześcijańskiej nie jest formułowanie dogmatów religijnych, ale polityczna praca chrześcijan w oparciu o zasady i ducha ich światopoglądu. Byłoby to zresztą oczywiste także dla partii jednolitej wyznaniowo. Nie ulega chyba wątpliwości, że szczególnie w stosunkach niemieckich przy dużej niejednolitości wyznaniowej chrześcijaństwa tworzenie partii ogólno - chrześcijańskiej jest słuszne. Jednakże oceniając ideologiczne tezy CDU trzeba bardzo wyraźnie podkreślić bardzo konkretne i specjalne stanowisko religii katolickiej, jeśli chodzi o jej konsekwencje dla życia społecznego. Z tym muszą się także liczyć niemieccy politycy chrześcijańscy przy formułowaniu swoich dalszych założeń ideowych. To czyni ich pracę ideologiczną jeszcze bardziej trudną i odpowiedzialną. To zobowiązuje ich do bardzo dokładnego studiowania etyczno-społecznych postulatów katolicyzmu i innych wyznań chrześcijańskich.

DRUGIM czynnikiem, na jaki chciałbym zwrócić uwagę oceniając tezy CDU, jest sytuacja wewnętrzno-polityczna Niemieckiej Republiki Demokratycznej. NRD nie jest państwem socjalistycznym, a nawet ludową demokracją, choć niewątpliwie Republika posiada ustrój antyfaszystowsko-demokratyczny. Rozumienie tego jest niezwykle ważne, a zdarza się, że czasem o tym charakterze ustrojowo-politycznym naszego zachodniego sąsiada zapomina się w dyskusjach. W tym świetle, w tej konkretnej wewnętrzno-politycznej sytuacji Niemieckiej Republiki Demokratycznej tezy CDU wnoszące wyraźny radykalizm społeczny i postulujące drogę socjalistycznej odnowy gospodarstwa narodowego, są niewątpliwie specjalnie charakterystyczne i znamienne dla ideowego rozwoju partii.

Wypada w sposób możliwie syntetyczny sformułować ocenę tych tez z naszych pozycji ideologicznych. Tezy te niewątpliwie nie stanowią jakiejś rewelacji intelektualnej dla świata chrześcijańskiego, ujmując znane, podstawowe prawdy chrześcijaństwa, jeśli chodzi o założenia światopoglądowe, oraz dyskutowane już wśród chrześcijan zagadnie-

Dokończenie ze str. 1

nie społeczne. Natomiast niezależnie od tego przyjęte w Meissen tezy CDU posiadają niezwykłe znaczenie przez fakt, że zostały postawione jako oficjalny program chrześcijańskiej partii politycznej. Szczególnie tak silne postawienie problemów światopoglądowych chrześcijaństwa przy jednoczesnym zdeklarowanym radykaliźmie społecznym, zasługuje na aprobatę i uwagę. Jeśli chodzi o założenia społeczne, to trzeba wskazać na niesłychanie trudne zadanie, przed jakim stoi CDU, jeśli chodzi o dalsze rozwinięcie swoich tymczasem ogólnie sformułowanych tez i powiązanie ich z założeniami światopoglądowymi. Nie ulega wątpliwości, że w tej pracy koncepcyjnej w Polsce zaszliśmy już dalej, a stale jeszcze musimy podkreślać nasze zasadnicze braki i niedopracowania. Z prawdziwą przyjemnością chciałbym tu podzielić się z czytelnikami bardzo często wyrażanym przez czołowych przedstawicieli Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej Niemiec przekonaniem, że w dziedzinie tych ideologicznych rozważań bardzo ważna jest wymiana myśli polskich i niemieckich chrześcijan, a także czerpanie z naszych polskich doświadczeń w dziedzinie układania się współżycia różnych światopoglądów w nowym powstającym socjalistycznym porządku społecznym.

Zjazd w Meissen odbywał się w okresie, kiedy całe Niemcy stoją pod znakiem walki o ogólnoniemieckie rozmowy, wybory i zjednoczenie kraju. Kolejna inicjatywa premiera Grotewohla i apel niemieckiej Volkskammer do Bundestagu zachodnio-niemieckiego odbił się szerokim echem po całych Niemczech. Oczywiście zjazd w Meissen odbywał się także pod znakiem jedności Niemiec. Sprawa ta stanowiła ważki czynnik referatów politycznych i głosów dyskusyjnych. Rola CDU w walce o jedność Niemiec, która jest jednocześnie walką o pokój w Europie, wydaje się być poważna, szczególnie jeśli zważymy, że w Niemczech Zachodnich właśnie tak zw. chrześcijańska partia Adenauera sprzeciwia się na rozkaz amerykańskich pełnomocników koncepcji jedności, mimo że coraz to szersze kręgi społeczeństwa niemieckiego dają wyraz swojej woli zjednoczenia kraju. Pokojowe, demokratyczne Niemcy mają zdecydować o pokoju w Europie. Wiadomo, że tym czynnikom, które prą do wojny jedność Niemiec jest co najmniej nie na rękę. Dlatego zachodni okupanci tak się jej przeciwstawiają. Jedno jest tylko ciekawe: jakimi metodami władze anglosaskie i ich zachodnio-niemieccy urzędnicy będą walczyli z wolą przeważającej większości narodu niemieckiego, i jak długo potrafią z nią walczyć.

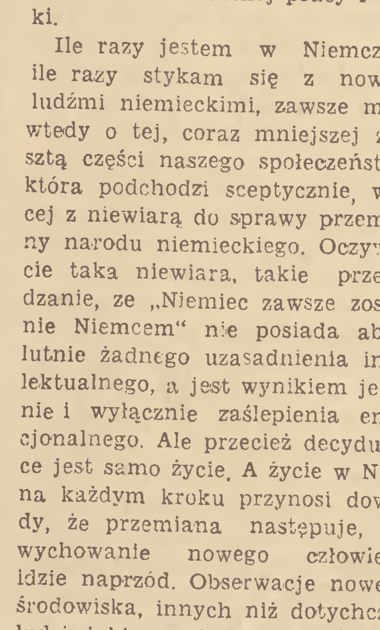
ZJAZD CDU w Meissen właśnie przez swój bardzo silny głos w sprawie jedności Niemiec odbił się szerokim echem po tym kraju, a także zagranicą. Na uwagę zasługuje tu także komunikat o przebiegu zjazdu i o jego znaczeniu dla jedności i pokoju w Niemczech, zamieszczony przez dziennik „Prawda".

W Meissen w obradach brało udział ponad 400 delegatów, byli wśród nich także przedstawiciele Niemiec Zachodnich. Przybyły delegacje zagraniczne z Polski, Czechosłowacji, Węgier i Anglii. Delegat francuski nie przybył z powodu trudności paszportowych. Rzecz prosta delegacja polska otoczona była specjalną przyjaźnią i

gościnnością gospodarzy. Naród niemiecki w NRD buduje dziś nowe życie oparte na nowych zasadach. Narodowi niemieckiemu uświadomiono zbrodnie przeszłości, jakich dokonywał faszyzm hitlerowski na innych narodach, a przede wszystkim na narodzie polskim. Stąd też ten specjalny stosunek demokratycznych Niemców do Polaków. Niezwykły szacunek dla Polaków budzą w Niemczech powojenne osiągnięcia Polski Ludowej. Ten dawniej, w oczach przeciętnego Niemca, zacofany cywilizacyjnie i mało ważny kraik, staje się dziś silnym przemysłowo-rolniczym krajem dążącym do socjalizmu. Stąd na wszystko, co polskie patrzą demokratyczni Niemcy, niezależnie czy to są sprawy tempa odbudowy czy modelu współżycia światopoglądów, pod kątem widzenia zbierania doświadczeń do własnej pracy i walki.

Ile razy jestem w Niemczech, ile razy stykam się z nowymi ludźmi niemieckimi, zawsze myślę wtedy o tej, coraz mniejszej zresztą części naszego społeczeństwa, która podchodzi sceptycznie, więcej z niewiarą do sprawy przemiany narodu niemieckiego. Oczywiście taka niewiara, takie przesądzanie, ze „Niemiec zawsze zostanie Niemcem" nie posiada absolutnie żadnego uzasadnienia intelektualnego, a jest wynikiem jedynie i wyłącznie zaślepienia emocjonalnego. Ale przecież decydujące jest samo życie. A życie w NRD na każdym kroku przynosi dowody, że przemiana następuje, że wychowanie nowego człowieka idzie naprzód. Obserwacje nowego środowiska, innych niż dotychczas ludzi, jakie mogłem poczynić dzięki obecności na obradach w Meissen, dostarczyły mi nowych dowodów i jeszcze mocniejszego przekonania, że polski interes narodowy każe nam dziś nie wątpić w szczerość przemiany, ale pomagać narodowi niemieckiemu do jeszcze głębszego, jeszcze szerszego jej przeprowadzenia.

UNIA Chrześcijańsko-Demokratyczna w oparciu o zasady chrześcijańskiego poglądu na świat może w tej przemianie ode-



Meissen — Widok z góry na ulicę zamkową

grać pierwszorzędną rolę. Zainteresowania jej powinny dziś skupić się przede wszystkim na chrześcijanach w Niemczech Zachodnich, którzy są oszukiwani i wyzyskiwani do antychrześcijańskich celów przez swych przywódców. Zdobycie chrześcijan zachodnio-niemieckich dla sprawy jedności Niemiec, opartej na zasadach pokojowych, będzie miało poważne znaczenie dla pokoju w Europie. Ta sprawa musi skupić zainteresowanie nas wszystkich.

Andrzej Micewski

Anachronizm metody «sakralnej»

(Dokończenie ze str. 3)

dotąd aktywizacja świeckich środowisk katolickich, które zdolne byłyby do podjęcia samodzielnej inicjatywy społecznej na swoje własne ryzyko, choć przy pełnej odpowiedzialności wobec władz kościelnych.

Tego dylematu zdaje się nie widzieć Łubieński, kiedy w końcowej partii swego artykułu, adresowanego bez wątpienia głównie do świeckich, wzywa do „podjęcia większych aniżeli dotychczas wysiłków w kierunku opracowania pozytywnego prawa Bożego pod kątem widzenia potrzeb życia społecznego". Zdaje się nie widzieć, że wprowadza w ten sposób poszukiwania intelektualne katolików świeckich na teren właściwy czynnikowi duchownemu, co prowadzi bądź do konfliktu z nim bądź też do podporządkowania się jego ścisłej ingerencji. Otóż trzeba jasno sobie powiedzieć, że dziś — w roku 1951 — powinniśmy już być na tyle dojrzali by umieć wyciągnąć wnioski z bolesnej lekcji „Sillon" i tylu innych cennych inicjatyw w przeszłości, które na skutek podobnego błędu przedwcześnie zgasły, uwikłane w konflikt z hierarchią kościelną zanim mogły wywrzeć wpływ na otaczającą rzeczywistość.

„KATOLICKIE GETTO" CZY POROZUMIENIE Z NIEKATOLIKAMI

WYBÓR metody pracy nad katolicką doktryną społeczną ma znaczenie praktyczne jeszcze pod jednym względem, przy czym, tym razem wyższość metody „świeckiej" jest bezsporna. Przyznaje to sam Łubieński pisząc, że wartość prawa naturalnego „nie może być kwestionowana w szczególności jako płaszczyzny porozumienia z niewierzącymi".

Zagadnienie porozumienia z niekatolikami — obce średniowieczu — urasta w naszych czasach do rzędu zagadnień naczelnych. W przeciwieństwie do średniowiecznej Europy — na gruncie której mógł wyrosnąć teocentryczny i sakralny ideał cywilizacji — świat współczesny dotknięty jest rozbiciem religijnym i światopoglądowym, które ogarnęło w mniejszym lub większym stopniu kraje dawniej jednolicie chrześcijańskie. W łonie tego samego społeczeństwa i ustroju współżyją teraz z sobą ludzie wierzący różnych wyznań oraz niewierzący. Z drugiej strony zaś społeczeństwo to stanowi pewną zwartą całość, która — aby mogła funkcjonować na zdrowych podstawach — musi posiadać jakiś wspólnie uznany i obowiązujący wszystkich obywateli zespół wartości, jakieś wspólne ideały, zapewniające społeczeństwu jedność mimo zróżnicowania światopoglądowego i pobudzające jednako wszystkich obywateli do pracy dla wspólnego dobra.

Jak długo istnieje rozbicie religijne takim zespołem wspólnych wartości nie może być — jak w średniowieczu — wspólna wiara. Będzie nim natomiast zespół wartości przyrodzonych, które są ludziom różnych światopoglądów tak wspólne (choć nie zawsze w równym stopniu uświadomione)

jak wspólna im jest natura ludzka. Są to „wnioski praktyczne, które umysł ludzki może próbować tłumaczyć — dobrze czy źle — z całkowicie różnych filozoficznych punktów widzenia, za pewne dlatego, że opierają się one o intuicje proste i „naturalne", do których serce ludzkie staje się zdolne wraz z postępem świadomości moralnej. Zdarza się więc, że ludzie mający przekonania metafizyczne czy religijne całkowicie różne — materialiści, idealiści, agnostycy, chrześcijanie i Żydzi, muzułmanie i buddyści — mogą zgadzać się nie na zasadzie jakiejś identyczności ich doktryny, ale na zasadzie analogicznego podobieństwa ich zasad praktycznych"[3]). Jest to więc prawo naturalne, oparta na nim jedność jest oczywiście niższa od jedności zapewnianej przez wspólnotę wiary w społeczeństwie średniowiecznym, wystarcza jednak dla zagwarantowania społeczeństwu nowoczesnemu potrzebnej mu jedności organicznej.

JAKO katolicy musimy pragnąć aby tymi wartościami powszechnie przyjętymi i obowiązującymi były wartości stanowiące treść katolickiej doktryny społecznej. Ale zarazem musimy sobie zdać sprawę, że aby doktrynie tej przywrócić charakter uniwersalistyczny, aby katolicy byli zdolni włączyć do niej i uznać za swoje to wszystko, co w programach ludzi innych światopoglądów jest zgodne z dobrem osoby ludzkiej i o co wspól nie należy walczyć, potrzebne jest „świeckie" ujęcie katolickiej doktryny społecznej. Tym, co ludzi dzieli w życiu społecznym nie powinny być poglądy religijne czy metafizyczne, ale postawa zajmowana wobec dążeń człowieka do realizacji praw, które mu z natury przysługują. W szczególności jestem przekonany, że dopiero ugruntowanie się metody „świeckiej" w świadomości współczesnych katolików może sprawić, że w splocie szarpiących świat sprzeczności poczuwać się będą oni do łączności, nie z tym co jest katolickie z imienia, ale z tym co jest katolickie faktycznie, choć nieraz może nieświadomie, przez zgodność z dążeniem człowieka do wolności i godności.

Sytuacja współczesnego świata tak różna od sytuacji świata średniowiecznego, sprawia, że pragnąc zapanowania katolickich wartości społecznych w rzeczywistości dnia jutrzejszego mo że w niemniejszym stopniu co na siły „ochrzczone" liczyć powinniśmy na te siły, które budują kształt jutra. Jak pisze Maritain: „Z punktu widzenia religijnego chciałbym, aby wszyscy ludzie wierzyli w integralność, w organiczną całość prawdy chrześcijańskiej. Z punktu widzenia społeczno-doczesnego wystarczyłoby mi jednak, gdyby siły chrześcijaństwa, które pracują w społeczności u niektórych zakwitły pełnią wiary nadprzyrodzonej, natomiast zachowały przynajmniej dynamikę moralną u tych, u których nadal istnieją (choć może bez ich wiedzy) ale stały się u nich mniej lub więcej laickie"[4]).

Janusz Zabłocki

[3]) J. Maritain — „Le role du principe pluraliste en démocratie".

Andrzej NARBIECKI

MISTRZ TRUDNEGO RZEMIOSŁA

„Qu'on ne dise pas que je n'ai rien dit de nouveau, la disposition des matières est nouvelle. Quand on joue à la paume, c'est la même balle dont joue l'un et l'autre, mais l'un la place mieux".

(Pascal)

I.

NIE ZAUWAŻONA. minęła niedawno podwójna rocznica. Dwie wrześniowe daty, dni dwudziestego ósmego raz dwudziestego trzeciego, pierwsza — roku 1803, druga — 1870, znaczą początek i koniec życia kogoś dobrze znanego Paryżowi połowy XIX wieku — dandysa i akademika, człowieka pióra i męża stanu, wojażera, erudyty i poligloty, osobistości ogólnie cenionej, a lubianej przez niewielu tylko — P r o s p e r a M é r i m é e.

Sceptyk i ironista, podobnie jak Stendhal, do którego najwierniejszych przyjaciół należał, którego wpływowi poddawał się niekiedy — starał się Mérimée — używając słów charakterystyki jednego z jego bohaterów[1]) — *„podobać tylko tym, którzy się jemu podobali. Towarzystwo podług niego dzieliło się na osoby przyjemne i nudne. Jednych szukał, stronił od drugich."* — Cytując dalej — *„na świecie nabył smutnej sławy człowieka nieczułego i oziębłego*. Pośmiertnie dopiero wydana korespondencja miała mu oddać sprawiedliwość i to zarówno pisarzowi jak człowiekowi. Właściwa Francuzom sztuka tej *„conversation écrite"* ukazała, pod pełym uroku stylem Mérimée'go, sylwetkę o nieco odmiennej strukturze duchowej niż ta, którą reprezentują postaci przezeń stworzone, rażące wielu swym chłodem, jeśli już nie oziębłością. Listy autora „Carmen" pozwalają przypuszczać, że jego postawa życiowa była czymś wtórym, nabytym (może zaważył tu ów dziecinny uraz na tle wyśmianej przez matkę sceny przeproszenia — epizod, który, opowiedziany przez Sainte-Beuve'a, powtarzany jest przez krytyków dość często?), że — być może, istotnie — *„urodził się on z sercem czułym i zdolnym do kochania"*.

Stuczterdziestoośmiolecie urodzin, osiemdziesięciojednolecie śmierci... — daty rzeczywiście mało „jubileuszowe". Warto jednak chyba przypomnieć sobie czasem eleganckie, pochyłe, poprzerywane zgrabnymi rysuneczkami pismo Prospera Mérimée i pochylić się w lekturze nad tym przynajmniej, co zostawił najwartościowszego. Wybór konieczny, zważywszy, iż — z wyjątkiem poezji — uprawiał ten wszechstronnie utalentowany i wykształcony pisarz wszystkie bodaj gatunki twórczości. Nie będą to więc wczesne próby sceniczne, ani ciekawe niewątpliwie, choć należące dziś już tylko do historii literatury — mistyfikacje; nie będą to prace historyczne ani studia Mérimée'go -historyka sztuki lub rozprawy zamieszczane w „Revue Archéologique"; nie będą to również przekłady z rosyjskiego (języka obcego, który autor „Kolomby" lubił najbardziej, bo — powiadał — *„pedanci nie zdożyli go jeszcze popsuć"*), czy jego dorobek krytyczno-literacki: uwagi interesujące ale mocno subiektywne i niekiedy (jak, na przykład, o Goethe'm, albo — co sam później przyznawał — o Gogolu) aż niesprawiedliwe; nie będzie to nawet „Kronika z czasów Karola IX" lecz, po prostu — nowele.

Polacy zawdzięczają Boyowi przekład jedenastu utworów Mérimée'go, wznowionych i wydanych u nas po wojnie w dwu tomach. Pierwszy z nich[2]) przynosi: „Carmen", „Czyśćcowe dusze", „Tamango" oraz „Kolombę"; drugi[3]) — „Wzięcie reduty", „Matea Falcone", „Księdza Aubain", „Arsenę Guillot", „Widzenie Karola XI", „Wenus z Ille", wreszcie — „Podwójną omyłkę". Przekład ten nazwał swego czasu prof. Zygmunt Czerny[4]) *„jednym z najdosłowniejszych jakie zna w ogóle"*. Przeważnie znakomity, z rzadka razi francuskim szykiem słów. By nie być gołosłownym: *„Po obiedzie, pułkownik, który zauważył pewne skrępowanie między bratem a siostrą, zapytał, ze zwykłą szczerością, Orsa (!), czy nie pragnie..."* („Kolomba", wyd. cyt. str. 180) — Hm, podobno Boy nie lubił zdań „posiekanych" przecinkami...!

Jeśli wolno zgłaszać życzenia pod adresem Wydawców — zauważyć trzeba, że Boy przyswajał naszej literaturze zazwyczaj te rzeczy, których przed nim nikt inny nie tłumaczył i dlatego też pewnie — obok „Podwójnej omyłki" — zabrakło teraz „Wazy Etruskiej" (por. odsyłacz[1]); trudno dostępne — a szkoda — są także przekłady Staffa. Otóż, czy nie warto zająć się nowym jeszcze tomem Mérimée'go, który by przyniósł resztę nowel, zasługujących na wykorzystanie?

II.

TRUDNO odmówić słuszności zwolennikom „zżywania się" z bohaterem, gdy twierdzą, że nowela tych możliwości raczej nie dostarcza. W przeciwieństwie do powieści — gdzie element biograficzny jest prawie nieunikniony, gdzie w trakcie akcji, postaci mają szanse ewoluowania — nowela zajmuje się analizą charakterów już „gotowych", za cel ma najczęściej ukazanie takiego dawniej uformowanego bohatera w jakiejś dla niego krytycznej, przełomowej sytuacji. Można ryzykować twierdzenie, iż — mimo niewątpliwe powinowactwo z powieścią — bliższa jest ona jednak dramatowi. Znajdziemy więc w noweli i skoncentrowanie akcji, nierzadko w połączeniu z jednością miejsca i czasu, i stosunkowo małą liczbą osób, i wyraźnie zaznaczony punkt kulminacyjny. — A zatem nie rozmiary utworu decydować będą o zaszeregowaniu go do takiego czy innego gatunku literackiego (istniały na przykład spory, czym jest „Kolomba": powieścią czy nowelą?), decydować tu będzie wyłącznie kwestia techniki literackiej. W noweli, biorąc pod uwagę jej ograniczony horyzont, wszystko jest niejako „pierwszoplanowe" i ta właśnie jednowarstwowość fabularna sprawia, że od pisarza wymaga się roboty tym precyzyjniejszej, rysunku tym subtelniej wycieniowanego — im bardziej skromny jest zasób środków, czy zgoła „chwytów", dających się zastosować. — Toteż najwytrawniejsze nieraz pióra oddawały się w służbę noweli, która była, jest i chyba pozostanie ulubioną formą co większych smakoszów literatury. Wśród zaś wspomnianych dopiero co smakoszów nie ma prawdopodobnie nikogo, komu byłoby obce bądź nawet obojętne nazwisko Prospera Mérimée.

Gdybyśmy chcieli jakoś bardzo skrótowo odpowiedzieć sobie na pytanie, co wniósł Mérimée do kunsztu Boccaccio'a i Cervantesa, a z niewiele stosunkowo odeń starszych — hrabiego Xavier de Maistre, padłoby z pewnością określenie, iż jest on twórcą noweli p s y c h o l o g i c z n e j. We wszystkich jego utworach wyśledzić można pasję — jak to Mérimée sam nazywał — *„dokonywania sekcji serc ludzkich, aby zobaczyć co było w środku"*. Przypomina się tu — między innymi — Julia de Chaverny, istna — przeniesiona tylko z prowincji do salonu — pani Bovary w miniaturze. Jeśli stawiamy w tym miejscu za przykład właśnie Julię, dzieje się to odrobinę na przekór Boyowi, który w noweli dostrzegł zaledwie — cytuję — *„...miły wdzięk staroświeczczyzny czyniący z tej „Podwójnej omyłki" niby stylowy bibelocik"!*

Czternastego marca 1844 roku Mérimée (25 głosami przeciw 14!) wchodzi do Akademii Francuskiej. Dokładnie następnego dnia zapanowała w Paryżu konsternacja: ci sami ludzie, którzy w cztery lata później będą się entuzjazmować ckliwą „Damą kameliową" Dumasa — teraz niezmiernie zgorszyli się — zamieszczoną w „Revue des Deux Mondes — „Arseną Guillot". Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że powodem takiego obrotu sprawy był tu nie sam konflikt, ukazujący ułomność dewocji wobec miłości, bo moralne zwycięstwo przyznaje nowela instynktowi a nie pobożności (choćby prawdziwej) — z podobnymi założeniami romantycy, na własny sposób — zgadzali się łatwo; oburzenie wśród świętoszków wywołało to, że problem owych *„filles de joie"* postawiony został szczerze i uczciwie Mérimée jeszcze w listach da wyraz swemu przekonaniu, iż jedyną rzeczą, która je dzieli od reszty kobiet — jest ich ubóstwo. — Nowelę jednak, przy jej całej śmiałości, cechuje niebywały umiar. Podziwiać wprost trzeba tego ateistę z wychowania i przekonań (Mérimée, przypomnieć można, nie był nawet ochrzczony), który potrafił nie tylko uszanować, ale — ma się takie wrażenie — wprost zrozumieć wierzenia innych. Bah, nie darmo przecież — wśród licznych studiów — zawadził on i o teologię!

Jesteśmy oto teraz przy innej noweli, która ukazała się w roku 1846 łącznie z „Carmen" (zamierzoną jako prowokacja opinii publicznej po „Arsenie" — tym razem na próżno!) oraz — wymienioną właśnie — „Arseną Guillot" „Ksiądz Aubain", pisany w formie listów, każe nam pamiętać, że Mérimée — to znawca i miłośnik XVIII wieku, (szczególnie cenił Woltera i Diderota); stanowi też doskonałą próbkę — jedynego w swoim rodzaju — Mérimée'owskiego dyskretnego realizmu. Pisać cokolwiek więcej o tej noweli — nie śmiem. Aby w pełni ocenić całą jej finezję, należy ją tylko... przeczytać.

„Irez-vous jamais en Corse? — pisał w swoich „Causeries du Lundi" Sainte Beuve. — *Aujourd'hui c'est presque inutile. Quelques heures d'aimable lecture vous en dispence. Vous avez „Colomba"*. — Słowa te, jak również znany fakt uznania okazywanego Mérimée'mu przez Korsykańczyków samych — niech starczą za świadectwo, jak prawdziwe było to co tworzył nie tylko od strony psychologicznej, ale także i — tak zwanego — koloryłu lokalnego — Zostawiając tedy na uboczu osobę pięknej Kolomby, tej nowożytnej Elektry — zatrzymajmy się chwilę przy niektórych szczegółach, dotyczących metody pisarskiej Mérimée'go, dość licznie zgromadzonych w tej jego najdłuższej i może najbardziej kompozycyjnie skomplikowanej noweli — Zbieżności z tragedią klasyczną nie ograniczają się tu tylko do sięgnięcia po niektóre akcesoria wskazywanej wyżej tragedii — rzuca się w oczy sama „budowa" „Kolomby": miss Lidię z ojcem poznajemy na samym początku, Orsa — zaraz w rozdziale następnym, bohaterka zaś utworu zjawia się dopiero w rozdziale piątym i wtedy — szósty poświęci autor, *„...aby powiadomić czytelnika o pewnych właściwościach, które nie powinny mu zostać obce, jeśli pragnie się zapuścić dalej w tę bardzo wiarygodną historię"...* — W dalszym ciągu, podpatrując technikę autora, zwrócimy uwagę, że wszelkie opisy przyrody traktuje on co najwyżej jako „zło konieczne", że stosuje na ogół charakterystykę bezpośrednią, że natomiast — niezwykłą uwagę przypisuje mimice bohaterów. Wreszcie — najwyższe uznanie wzbudzą w nas liczne kontrasty i gradacje, które — nie podważając w niczym prawdziwości sytuacji — znacznie „rozładowują" sceny dalekie od sielankowości. Zdolność ta daje i inne, równie cenne efekty: wszyscy przecież jesteśmy przekonani razem z bohaterką utworu, iż Orso „vendettę" dopełnił; a przecież — ujmując rzecz w kontekście sytuacyjnym — nie możemy zabicia Barricini'ch nazwać inaczej, jak tylko formą zupełnie legalnej obrony. Podobnych momentów niespodzianki odautorskiej, z których ten jest może najbardziej znamienny, Mérimée nie skąpi nam nigdy. To właśnie, iż kryzys jest prawie zawsze czymś nieoczekiwanym — stanowi o niesłabnącym nigdy napięciu uwagi czytelnika przy lekturze tego pisarza.

Jeśli wolno raz jeszcze posłużyć się autorytetem Sainte-Beuve'a — przytoczmy paradoks (zanotowany zresztą w „Mes poisons" przy okazji „Carmen", z której Książę Krytyków nie był zadowolony), że efekt Mérimée'go polega na „krótkości" noweli: czytający nie ma po prostu czasu zastanowić się, czy to co czyta jest dobre. Tkwi w tym zdaniu coś z prawdy; w każdym razie przypomina się ono przy dwóch zwłaszcza utworach, stanowiących szczyt zwięzłości przy maksymalnej ekspresji, utworach najpowszechniej może znanych, bo przytacznych nawet w wypisach szkolnych — „Wzięciu reduty" oraz „Mateo Falcone".

Dotychczas mówiliśmy tylko o nowelach par excellence psychologicznych, wspominaliśmy także, iż Mérimée lubuje się w tym, co się zwykle określa jako „couleur locale". Wcale nie rezygnując ze swoich zdobyczy na tych polach — z dużym zamiłowaniem poświęca się Mérimée i nowelistyce fantastycznej. Tu, jak w „Widzeniu Karola XI", znajduje ujście jego pasja historyka ze skłonnością do anegdoty; tu — jak w „Venus z Ille" — można, w oparciu o średniowieczną legendę, dać wyraz swoim zainteresowaniom zabobonami; tu na koniec, jak w „Czyśćcowych duszach" — da się barwnie podjąć zbanalizowany temat legendarnego don Juana. — I znowu wrócić wypadnie do wyśmienicie funkcjonującego u autora tych nowel prawa kontrastów. Niecodzienną wizję mieć będzie człowiek, przedstawiony nam jako *„...nieugięty, zimny, trzeźwy zupełnie pozbawiony wyobraźni"*; ileż cienkiej a ostrej satyry zawiera mocno niesamowita „Venus z Ille"; jak bardzo prawdziwie wypadnie w obu motywach: rozpusty i pokuty — sylwetka bohatera „Czyśćcowych dusz"! Ostatni z wymienionych utworów jest może — zwłaszcza w części pierwszej, trochę przeładowanej przygodami — kompozycyjnie najsłabszy, służy on jednak do zrozumienia założeń artystycznych Mérimée'go, który — nie broniąc czytelnikowi wierzyć w zjawiska nadprzyrodzone — całość tematu ujmuje zawsze w kategoriach racjonalistycznych.

Zamierzona piętnaście lat wcześniej, napisana w przeciągu tygodnia w maju roku 1845 i zamykająca właściwie świetniejszy okres pisarski autora — „Carmen", powiedzmy to szczerze, rozczaruje trochę znającego już „Kolombę", „Księdza Aubain" czy „Venus z Ille". Mérimée wyraźnie się powtarza („Lettres d'Espagne"), co zdarzy mu się i później, gdy przy „Lokis" wykorzysta „Venus z Ille", którą sam uważał za swoje arcydzieło. Znać też — choć przy sporym ładunku wrażeń własnych — duże wpływy Cervantesa i Lesage'a. Dzieje Carmen, tej — czasem tak nazywanej — dzikiej siostry Manon Lescaut, opowiedziane chronologicznie i tylko przeplatane dygresjami natury psychologicznej — nie wzruszają nas zbytnio. (Może zaszkodziło tekstowi literackiemu spopularyzowanie Carmen przez operę?). Już stanowczo wyraziściej, powiedzmy: bardziej po Mérimée'owsku, wypadła w noweli postać don Joségo, trochę don Juana à rebours. — Pozostanie wszakże „Carmen" w literaturze choćby jako wyraz zainteresowania i sympatii, którą okazywał jej autor Cyganom; ten faworyt gęsto utytułowanych pań de Montijo, de Beaumont czy de Lagrené — z dumą donosił kiedyś listownie, że dużo przebywa w towarzystwie Cyganów, że poznał nieźle ich język i obyczaje, że mawiają o nim: *„es de nostres"...*

III.

CAŁY DOROBEK literacki Prospera Mérimée domaga się — choć nie zawsze metodą wprost — iterpretacji biograficznej. Zajrzyjmy do korespondencji: *„Je n'ai rien écrit dans ma vie pour le public,* — pisze kiedyś Mérimée — *toujours pour quelqu'un"*. I, znacznie później, na zapytanie czemu przestał tworzyć, wyjaśnia: *„Je n'écris plus de romans depuis que je ne suis plus amoureux"*. Toteż najczęstszym tematem jest dlań właśnie studiowanie miłości od strony psychologicznej. Z tych samych przyczyn bywalec salonów, co podróżnik i uczony — ten człowiek o niebywałej wprost kulturze literackiej stawiał sobie dewizę: *„voir, c'est avoir"*. — Gdy robimy przegląd powołanych przezeń do życia postaci, uderza nas przede wszystkim, że tematycznie nie dał Mérimée właściwie nic nowego. Te panie, raczej ładne niż brzydkie (jedną, której autor poświęcił baczniejszą uwagę, była... posągowa Venus!), ale prawie zawsze dobrze wychowane; ci mężczyźni — częściej wytworni niż brutale, czasem kompletne zera, zwykle — wybujałe indywidualności; spora dawka egzotyki — przecież to świat z literatury (i nie tylko z literatury) już doskonale znany! — Wróćmy do słów wziętych za motto; *„...la disposition des matières est nouvelle"*. Aż tyle, lub — zaledwie tyle; co kto woli. Ale to wystarcza. — Mérimée jest w swoich utworach najwyżej ś w i a d k i e m, czasem — wydawcą korespondencji osób trzecich, dość często — opowiadającym rzeczy od kogoś zasłyszane lub gdzieś wyczytane osobiście nie angażuje się nigdy. Dla ilustracji tego co najwartościowsze — klarownego, pełnego spokoju, prostoty i naturalności stylu Prospera Mérimée, stylu, który, wykluczając jakikolwiek komentarz autorski, jest sam w sobie wystarczająco wymowny — niechaj posłuży zakończenie przemilczanego dotąd „Tamango", jedynej w dodatku noweli, będącej oddźwiękiem na współczesną autorowi bolączkę społeczną. Schemat treściowy przedstawia się następująco: *„słynny wojownik i handlarz ludźmi"*, Murzyn Tamango, pada ofiarą podstępu i sam dostaje się jako niewolnik między „towar" sprzedany przez siebie uprzednio „białemu" kapitanowi statku. Organizuje bunt, niewolnicy opanowują statek, mordują załogę. Czarni jednak nie umieją poradzić sobie z brygiem na pełnym morzu. Giną i umierają wszyscy z wyjątkiem Tamanga. Tego odnajduje przypadkiem angielska fregata. Dalej cytuję:

„Był bezprzytomny, ale tlił w nim jeszcze ostatek życia. Zajął się nim chirurg, otoczył go staraniami, i kiedy „Bellona" przybyła do Kingston, Tamango był zupełnie zdrów. Spytano go o jego dzieje. Opowiedział co wiedział. Miejscowi plantatorowie zażądali, aby go powiesić jako zbuntowanego Murzyna; ale gubernator, człowiek ludzki, wziął go pod opiekę, uważając

(Dokończenie na str. 10)

[1]) Ten i dwa następne cytaty, por. Mérimée: „Waza Etruska"; przekład bezimienny w tomie p.t. „Trzy powieści"; Petersburg 1830. Cytując, modyfikuję ortografię — A.N.

[2]) Prosper Mérimée: „Carmen". Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy). „Wiedza", Warszawa 1948, s. 289 + 3 n.

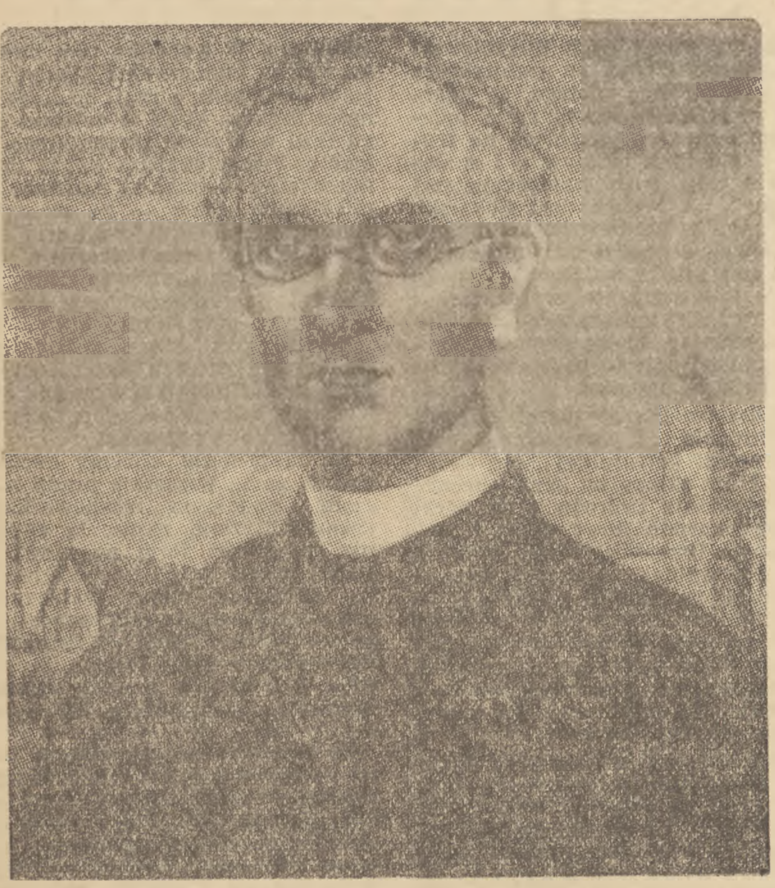
[3]) Mérimée: „Podwójna omyłka" Tłumaczył Tadeusz Żeleński (Boy). Książka i Wiedza", Warszawa 1951, s. 183 + 1 nlb.

[4]) Por. „Rocznik Literacki" 1933 str. 138

[5]) Por. Boy: „Flirt z Melpomeną" (Wieczór trzeci), rozdz. p.t. „Przecinki i przycinki".

Kazimierz GOŁBA

TWARDZI LUDZIE



Ks Norbert Bonczyk

KS NORBERT Bonczyk, ur. w 1837 r. w Miechowicach pod Bytomiem, a zmarły w 1893 r. jako proboszcz w Bytomiu, był najwybitniejszym zjawiskiem literackim Śląska w XIX wieku. Wzorując się na Mickiewiczu, zwłaszcza na „Panu Tadeuszu", wyrósł na rasowego epika i nazywany był Homerem Śląskim. Głównymi jego dziełami są dwie epopee ludowe. Pierwsza z nich — „Stary kościół miechowski", wyd. 1879 r. — daje — analogicznie do „Pana Tadeusza" — obraz zamierających form życia dawnej wsi śląskiej, likwidowanej przez przemysł — według wspomnień z własnej młodości poety. Druga — to „Góra Chełmska" (czyli Góra św. Anny), powstała w latach 1885—1886 dla pokrzepienia serc w dobie największego nasilenia bismarkowskiego „Kulturkampfu". Opiewa ona przeszłość i współczesność słynnego śląskiego miejsca pątniczego na tle odbywającego się tam odpustu. Wydanie zbiorowe (3 tomy) dzieł Bonczyka, wspaniałych pomników polskości G. Śląska, ocenionych częściowo już przez J. I. Kraszewskiego, ukazało się nakładem Instytutu Śląskiego w Katowicach w latach 1936-1939 w opracowaniu krytycznym Winc. Ogrodzińskiego.

Poniższe opowiadanie dotyczy zdarzenia z młodości Bonczyka, które później znalazło silne echo w jego „Starym kościele miechowskim".

KTÓREJS soboty późną jesienią 1853 r. maszerował 16-letni Nolbuś (Norbert) Bonczyk, uczeń gliwickiego gimnazjum, do swoich rodzinnych Miechowic. Odwiedzić pragnął ojca i siostrę Lorkę i spędzić z nimi niedzielę, w starej chacie, szędziołem pokrytej. Zawsze ciągnęło go na wieś do wolnej przestrzeni pól, łąk i lasów, gdzie spędził dzieciństwo. Gliwice obcym mu było miastem, przez obcych ludzi zamieszkałym, wobec tej wioski, gdzie wszyscy mieszkańcy znajomi mu byli i bliscy. Gdybyż to jeszcze matka żyła i trzy siostry starsze, które padły ofiarą strasznego pomoru, jaki przed sześciu laty przeszedł ziemię śląską — nic by Nolbusiowi do szczęścia sielskiego nie brakło.

Miechowice miał już przed sobą jak na dłoni (tylko bez wieży zburzonego kościoła, do której tak oczy przywykły), gdy usłyszał z tyłu na drodze turkot i końskie człapanie. Doganiały go dwa powozy, również jadące od Gliwic. Obejrzawszy się, poznał pędzącą przodem czwórkę koni i siedzącego na koźle stangreta. Nie wątpił, że to panie z miechowickiego zamku jadą z gliwickiego dworca kolei żelaznej po powrocie z jakiejś dalszej podróży, z Wrocławia, a może z Berlina.

Przystanął Nolbuś nad rowem, by się przyjrzeć jadącym i ukłonić grzecznie, jak na syna sztygarskiego przystało, który w zamku nie był obcy. Nie zważał, że go pańskie konie wcale niegrzecznie obryzgały błotem, bo go uderzyło coś innego. Gdy na tylnym siedzeniu ujrzał jejmość Marię z Domesów Winklerową i jej nadobną pasierbicę Waleskę, zakutane w szale podróżne, to naprzeciw nich siedział okazały, może trzydziestoletni mężczyzna z bokobrodami i wąsikiem — w mundurze porucznika pruskiej gwardii królewskiej. Ów oficer tak usilnie zabawiał rozmową obie damy, że te nie zauważyły nawet Nolbusiowego ukłonu ani jego istnienia na szosie. Nie poznałyby zresztą chłopaka, który przed sześciu laty przyszedł nieśmiało na zamek, by podziękować jegomości Winklerowi za przysłanie lekarza do chorego ojca, któremu uratował życie.

Ledwo Nolbuś odprowadził zdumionym wzrokiem pierwszy powóz, zaraz nadjechał drugi, w parę koni zaprzężony, w którym poznał sylwetkę radcy Grundmanna, generalnego przedsiębiorstw winklerowskich dyrektora oraz inspektora Müllera. Przyjazd Grundmanna oznaczał niechybnie, że na zamku załatwiane będą ważne sprawy finansowe. Bystry umysł chłopca szybko skojarzył ten domysł z osobą pruskiego porucznika.

— Pewnie targować się będą o posag dla Waleski! — pomyślał.

Gdy wszedł między domy, zauważył, że przejazd powozów zamkowych wywołał w całej wsi poruszenie. Pierwsze wybiegły z chat kobiety, by pogadać z sąsiadkami. Do nich przyłączyli się chłopi, kręcąc z frasunkiem głowami. Dzięki temu mało zwracano uwagę na Nolbusia, który przechodząc pozdrawiał starych znajomków. Jedynie dawni koledzy z miechowickiej szkoły, którzy z zazdrosnym szacunkiem patrzyli na jego gimnazjalny mundurek, witali go różnymi okrzykami, lecz nie zatrzymywali rozmową. Dopiero Maryjka Sleczków, także koleżanka, śmiało zastąpiła mu drogę, choć wiedziała, że młody Bonczyk sposobił się na księdza.

— Nolbuś! — zawołała — Nareszcie tu cię nogi niesą. Ani wiesz, co się we wsi dzieje. Widziałeś, jak jechali?

— Widziałem. Jeszcze mi na ubraniu ślad błota pozostał.

— A tego generoła też?

— Jaki tam generał! To lejtnant, na tyle się znam.

— Niech będzie, jaki chce! Ale to cudzy i luter Waleskę jejmość za niego wydaje i wszystkie majątki jemu zapisać ma.

— Skąd ty to wiesz, Maryjka?

— Strzelec zamkowy Reichelt mówił do pana rektora. A terozki już wie całko wieś.

Istotnie nowina ta nie była dla Miechowic obojętna, choć resztki pańszczyzny zostały już zniesione. Olbrzymia fortuna Winklerów rozciągała się bowiem od prudnickiej Moszny po Mysłowice i Orzesze, obejmując szereg miast i kilkadziesiąt wsi z kopalniami, hutami, lasami. Całe życie gospodarcze tej części Śląska, zatem byt wszystkich jej mieszkańców zależał w znacznej mierze od winklerowskiej administracji. Ostatnio zaś zburzenie kościoła w Miechowicach i związane tym wypadki dowiodły aż nazbyt wyraźnie, co znaczy kaprys pański pod bokiem winklerowskiego zamku. Zrozumiały był przeto strach przed nowym, obcym panem, który ogarnął nawet tak młode dziewczęta jak Maryjkę Sleczków.

Nolbuś minął już chatę Grocholów, za którą przy wielkiej lipe stał jego dom rodzinny, gdy natknął na ojca. Sztygar Walenty Bonczyk (zwany we wsi gwardzista, jako że w Berlinie w gwardii kiedyś służył i świat szeroki oglądał) był bardzo roztargniony i gdzieś się spieszył. Ledwo spojrzał na syna i przyjął jego pozdrowienie, jakby nie miał czasu na upust ojcowskiej radości.

— Oj, synku, synku! — stęknął pod wąsem. — Złe czasy na nas idą, jakech zapowiadoł. Psują się sprawy między wsią a zamkiem. Od zburzenia kościoła i rozkopania cmentorza się zaczęło, co wcale nie było potrzebne — a niewiadomo, na czym się skończy. Ida terozki do rektora Bienka. Całko miechowska starszyzna we szkole się zbiera. Możno się jeszcze nasza wieś poruszy i do jejmości z przełożeniem przeciwko lutrowi pójdzie. Dobrze, żeś przyszoł. Będziesz jutro mioł, synku, co się podziwiać. Idź ograć się do dom! Niech ci Lorka da cieplego mleka!

PRAWDĘ rzekł stary Bonczyk. Psuło się coś między Winklerami a wsią, choć właściwie po żadnej stronie nie było wyraźnej winy. Zdawało się, że sam los krzyżuje zamierzenia Marii Winklerowej, która nauczona doświadczeniami Wiosny Ludów — owdowiawszy nagle — usiłowała zabezpieczyć się przed miejscową ludnością, kupując na trwałe jej wdzięczność. Tymczasem zamiast wdzięczności wyłaniał się niespodziewanie rozłam.

Toteż gdy podczas wieczerzy doniesiono Winklerowej o wzburzeniu wsi i o zebraniu u rektora Bienka, zostawiła Waleskę z porucznikiem Thiele i radcą Grundmannem przy stole, a sama zamknęła się w sypialni, by rozważyć poważną sytuację.

Cofnęła się myślą wstecz, czyniąc jakby bilans rodzinnych osiągnięć. Czuła się przecież dzieckiem *interesu* i jemu całe życie służyła. Wszak ojciec jej Ignacy Domes, Czech zniemczony, z pustymi rękami przybył w młodości do Piekar, by na tej ziemi złotodajnej pozostać. Kupcem osiedlił się w Czeladzi, gdzie niebawem — po trzecim Polski rozbiorze — „Nowe Prusy" powstały. Maria była czeladzianką, ale prócz języka nic z polskości nie wsiąkło w jej duszę. Obca jej była wszelka narodowa świadomość, natomiast *interes* związał ją z niemczyzną. Wzbogacony ojciec kupił jej Miechowice i zamek ten wystawił. Niełatwo im było, parweniuszom, stanąć w równym rzędzie wśród pruskich baronów, grafów i książąt, którzy z kapitałami jak kruki obsiedli ten Śląska graniczny zakątek. Za kupca wrocławskiego zaledwie wyszła Maria, Arezina, bo nie dało się dla niej lepszej partii znaleźć. Ale złe to było małżeństwo, przeklęte! Była więc szczęśliwa, gdy została wdową i wyjść mogła za Franciszka Winklera, także wdowca z rodziny czesko-niemieckiej, przyjmując córkę jego Waleskę, chrześniaczkę swoją za własną. Oboje z Franciszkiem, choć sobie kupili szlachectwo i choć fortuna z roku na rok rosła im jak na drożdżach, nie sprostaliby baronom i grafom, gdyby nie poszukali oparcia w śląskim ludzie. Tak im nakazywał *interes*.

Toteż w dniach straszliwej klęski głodu i zarazy w 1847 r., którą wszyscy pruscy baronowie wyzyskali do jeszcze większego pognębienia zagrodników i gburów, oni — Winklerowie — rękę nieszczęśliwym podali, zasiłki bezzwrotne dawali, a do niektórych chorych, jak do Bonczyków na przykład, nawet lekarzy własnych posyłali. I opłaciło się, opłaciło stokrotnie. Podczas zaburzeń chłopskich „Wiosny Ludów" Winklerowie byli jedyną magnacką rodziną na Górnym Śląsku, która mogła spokojnie spać pod własnym dachem, ba! nawet pod strażą, wystawioną dla ich obrony przez miechowickich chłopów. A przecież nawet nieboszczyk Godula — choć sam był pastuch — który podobną do Winklerów fortunę sobie uciułał, przed swoimi chłopami uciekał. Co więcej, Winkler głosami chłopskimi w 1849 r. na posła był wybrany i w parlamencie berlińskim ustawę o zniżeniu godzin pracy w przemyśle z 12 na 8 przeprowadził. On pierwszy bodaj w Europie! I to się opłaciło, choć baronowie zgrzytali zębami i później ustawę tę obalili.

A gdy się potem Winklerowi zmarło nagle w dalekich krajach (1851), ona — Maria — fundację z 12.000 talarów uczyniła, by biednym robotnikom winklerowskich zakładów pomoc nieść. Czy w tych czasach słyszał kto coś podobnego?

Żyła więc Winklerowa przeświadczeniem, że sobie wdzięczność ludu śląskiego na wieki już kupiła. Jedyną troską, jaka jej została, było wydać Waleskę za mąż i spadkobierczynią swoją uczynić. Z tyloma milionami posagu o kandydata nie było wprawdzie trudno, lecz należało wybrać takiego, co by baronom śląskim się nie dał i w Berlinie plecy dobre miał. Takim właśnie okazał się lejtnat Hubert Thiele, wschodnio-pruski protestant i rodziny Bismarków przyjaciel.

Takiemu trzeba było do Miechowic utorować drogę, bo to ludzie mówili po polsku, przy katolickiej wierze trwali, a na „lutrów" jak na diabłów patrzyli. Postanowiła więc pani miechowiczan nowym kościołem przekupić. Stary za mały był, by wszystkich wiernych ze wsi i okolicy pomieścić. Przyrzekła więc ten stary swoim kosztem rozebrać, a na jego miejscu nowy, potężny zbudować, na jaki by sami nigdy się nie zdobyli. Zgodzili się, bo jakżeż nie mieli się zgodzić, skoro od nich żadnych dopłat nie żądano, a sam proboszcz Preuss za większym kościołem przemawiał.

Tu jednak plany Marii zaczęły się wikłać. Gdy dla powiększenia placu pod nowy kościół przystąpiono do rozkopywania bliżej leżących na cmentarzu grobów i przenoszenia zwłok na inne miejsce, wieś wystąpiła czynnie przeciw naruszaniu spokoju zmarłych. Trzeba było policję sprowadzać dla przywrócenia porządku. Mało tego! Gdy zburzono stary kościół, okazało się, że grunt ten ciężaru wielkiej budowli nie udźwignie. Niepotrzebnie zatem zniszczono kościół stary, do którego wieś była przywiązana, niepotrzebnie naruszono groby, skoro budowę nowego kościoła trzeba było przenieść gdzie indziej. A przed taką właśnie pomyłką przestrzegał sztygar Bonczyk, geologię Miechowic znający!

Dziś ten sam Bonczyk przemawiał na zebraniu w szkole przeciwko małżeństwu Waleski z „lutrem", przeciwko *interesowi* Winklerów! Wzburzeni chłopi ciągnąć mają jutro po sumie na zamek, by „obcemu" i „lutrowi" jawnie niechęć swoją okazać, że junkra pruskiego nie chcą mieć w swojej wsi.

Wiedziała jejmość Maria, że do takiego „marszu na zamek" dopuścić nie może, bo byłoby to klęską wspólnego już dziś *interesu* Thiele-Winklerów i całej ich przyszłości. Bo nuż by Hubert stchórzył i wyrzekł się małżeństwa? Gdzież ona znajdzie dla Waleski lepszego męża, a zarazem odpowiedniejszego dla olbrzymiej fortuny dziedzica? Może by Grundmanna zawezwać i jego zapytać o radę?

Nie, lepiej bez Grundmanna! On by jeszcze policję a może i wojsko sprowadził, jak to często baronowie czynili. Tu sprawę należało załagodzić „babskim sprytem", po cichu, by się wieść nie rozeszła dalej i by opinia o Winklerach jako o „dobrych panach" nie zatraciła się wśród robotników.

Długie godziny nocne trawiła Winklerowa na szukaniu wyjścia. Dawno już światła w zamku pogasły, gdy u niej świeciło się jeszcze. Tylko tykanie licznych zegarów świadczyło o wlokącym się czasie...

NAZAJUTRZ rano wierni śpieszący na mszę świętą do tymczasowego baraku, zauważyli powóz z zamku przed probostwem. Zdziwienie stąd było niemałe, bo zazwyczaj obie panie przybywały do kościoła w momencie gdy już ks. proboszcz wychodził ze sumą, a nigdy nie wstępowały na probostwo. Co więcej, sam ks. Preuss spóźniał się dziś z opuszczeniem mieszkania, więc widocznie toczyła się tam ważna narada.

Sztygar Bonczyk zajrzał zaniepokojony do zakrystii, gdzie zastał syna w ministranckiej komży, zajętego robieniem „ognia".

— Nolbuś! — skinął na niego — Kadzielnicę oddaj kościelnemu, a skocz na farę oboczyć, czemu ks. farorz jeszcze nie przychodzi.

Chłopiec, jak był w komży i rewerendzie czerwonej, pobiegł na plebanię.

Jejmość Maria Winklerowa konferowała z proboszczem już od pół godziny. Gorąco go prosiła, by uspokoił wzburzone umysły. Kiedy Nolbuś wszedł do sieni, zatrzymały go jej słowa:

— Jeżeli ksiądz powie z ambony, że wszystko we wsi zostanie po staremu, nie będzie przeciw czemu się burzyć. Nawet sztygar Bonczyk wnet przestanie szemrać, gdy się przekona, że mury nowego, katolickiego kościoła, rosnąć będą dalej. Żeby zaś nie drażnić uczuć religijnych tutejszego ludu, zobowiązuję się, że córka z mężem nie będzie mieszkała w miechowickim zamku, który zostawię dla siebie. Na rezydencję młodych przeznaczyłam Mosznę pod Prudnikiem. Niech się więc wasi parafianie nie boją, że im tu pruski „luter" na karku będzie siedział! On im ani języka, ani wiary nie odbierze. Ja za to gwarantuję.

Ks. proboszcz Preuss dziękował jejmości za tyle zrozumienia dla postawy ludu śląskiego, któremu pruscy baronowie tak ciężko w ostatnich latach dali się we znaki i — przyrzekał, że zrobi wszystko, co może, by uspokoić wzburzone umysły. Spieszył się jednak bardzo, bo czas już był na mszę najwyższy.

Wychodząc natknęli w sieni na Nolbusia, którego zasłyszana rozmowa tak przykuła do miejsca, że ani się na czas nie cofnął, ani polecenia ojcowego nie spełnił.

— Przyszedłeś po mnie? — zagadnął go pierwszy proboszcz. — Pan rektor Bienek cię przysłał?

— Nie! Ojciec! — odpowiedział Nolbuś, całując go w rękę i kłaniając się jejmości.

— Cóż to za rosły ministrant! — zauważyła pani.

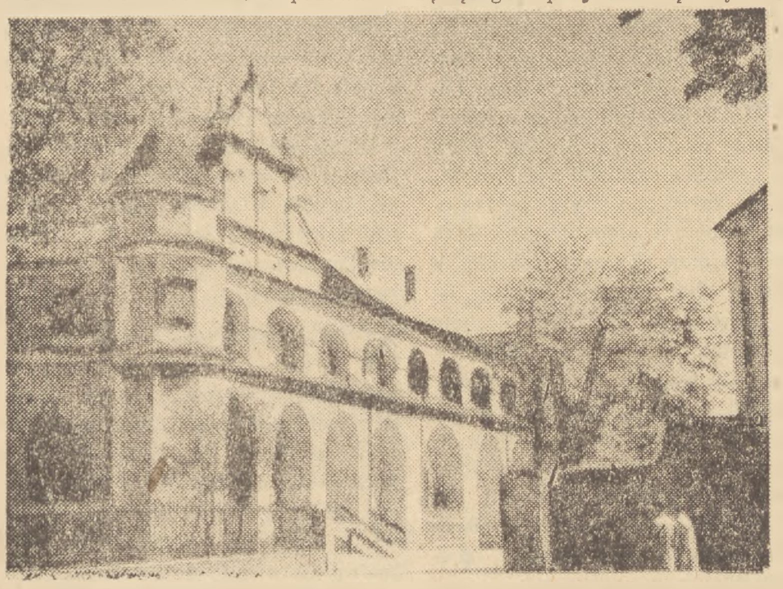
— Bonczyków synek! — objaśnił proboszcz. — Na księdza się kieruje, w Gliwicach jest na nauce.

(Dokończenie na str. 10)

Dymitr Stefan SOZYKO

ZADANIA ESTETYCZNE ARCHITEKTA

HISTORIA architektury każdego narodu jest zbiorem wypadkowych twórczości budowlanej poszczególnych okresów dziejowych, posiadającym specyficzny wyraz plastyczny cech psychicznych ludności, obok jednoczesnego odbicia warunków gospodarczych i politycznych. Gromadzi ona poczynania wyrastające z rodzimego i obcego podłoża, obrazując swym przeznaczeniem i kształtami interesy warstwy społecznej, będącej właściwym odbiorcą plonów myśli ludzkiej. Bardzo często jest zbiorem świadomych koncepcji, stworzonych w silnym zespoleniu z dyktandem lub mecenatem przodującej w określonym czasie grupy socjalnej. Często jednak jest również interesującą kolekcją szamotań i podświadomych zmagań jednostek na szlaku nieustannego rozwoju kulturalnego.



Wąchock opactwo

Każda wieś, miasteczko i miasto skupia na swym terenie wyraz tych wysiłków, sterowanych myślą o wzniesieniu i upiększeniu budowli, w sposób odpowiadający najwłaściwiej przyjętym potrzebom użytkowym i estetycznym danego pokolenia. Praca ta wykonana w ciągu wieków nadaje osiedlu, dzielnicy, czy państwu zdecydowanie odrębny charakter dzięki wyraźnemu piętnu narodowemu lub regionalnemu.

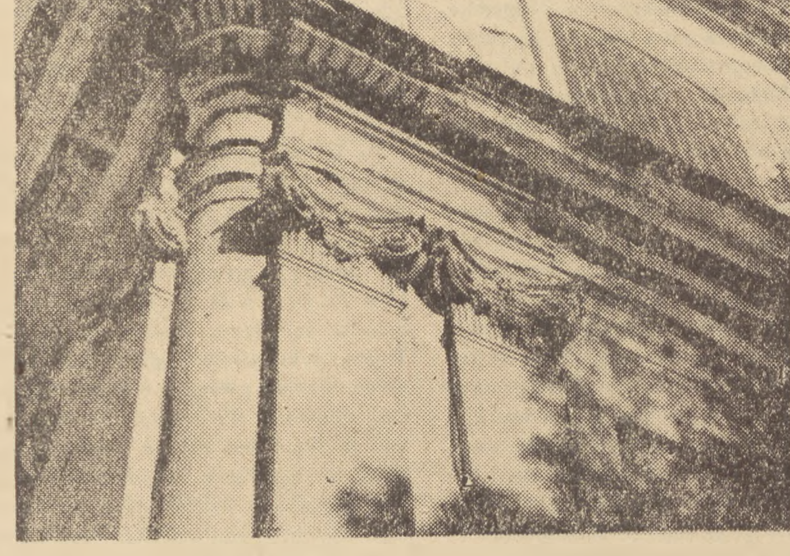
Historia architektury — podobnie, jak innych gałęzi sztuki — jest tym obszerniejsza i ciekawsza, im większe zmiany zaszły w rozwoju społecznym, im większą odpowiedzialność odczuwał twórca wobec jednostki, lub grupy zlecającej zamówienie i patronującej wykonywanemu zleceniu. Czynnikiem równie ważnym jest stopień wzbogacenia danego terenu przez wiedzę, zdobytą w innych krajach, o innym poziomie kultury i cywilizacji.

Idealistyczne szkoły filozoficzne zaprzeczają i pomniejszają znaczenie poznawcze samej sztuki, przeznaczając dla niej miejsce błahej rozrywki. Jednocześnie odrzucają w większości wypadków jej czynną rolę w budowaniu i przekształcaniu ustroju społecznego. Stąd też wypływają terminy sztuki dla sztuki, czystej architektury, czystej koncepcji plastycznej. W wyniku tych pojęć rozpatrywano obiekty, jako izolowane od świata produkty, nie wiążąc ich z warunkami gospodarczymi danej epoki. Malarstwo, rzeźba i architektura zawisły w wymarzonej nicości, będąc w następstwie tego często również niczym. Prawdziwym twórcą był ten, który stworzył rzecz nową. Za taką uznano swego czasu w malarstwie mieszaninę figur geometrycznych i garnka na tle diabelsko zbieżnej perspektywy. W architekturze natomiast rewelacją był budynek, przypominający do złudzenia kilka przypadkowo zestawionych pudełek z zapałkami lub pasiaki łowickie-pionowe, poziome, dobrane kolorkiem i sklejone ze sobą zależnie od inwencji artystycznej projektanta.

Mimo olbrzymiej ilości przepracowanej w okresie między wojennym kubatury mieszkalnej i użyteczności publicznej, nie potrafiliśmy znaleźć wśród powodzi najróżniejszych stylów właściwej drogi, ku wykrystalizowaniu własnego. Nowinki cieknące przy pomocy prasy, publikującej ostatnie cuda Zachodu, przyjmowano bez zastrzeżeń, bezwstydnie je kopiując. W wielu wypadkach poczynania zawodowe sprowadzały się do uczynienia z ruchu budowlanego przedsiębiorstwa, dającego dobrą lokatę kapitału. W wyniku takiej gospodarki otrzymaliśmy w darze osiedla i miasta zabudowane źle, zaśmiecone ordynarnie wszelkiego rodzaju wrzodami architektury. Miasta, w których prawa człowieka do piękna i radości życia nie istniały.

Podobnych dowodów na zagadnienie, w jakim stopniu teorie mogą zaważyć na ciężarze gatunkowym praktyki możnaby przytoczyć dziesiątki. W wypadku naszym przyjęte rozumowanie musiało spowodować i spowodowało całkowitą izolację budownictwa od podłoża, będącego przyrodzoną sytuacją. Architektura wiejska została zupełnie oderwana od ludu i jego tradycji. Architektura miejska, stając się abstrakcją, odłączona od narodu, jego sposobu patrzenia, myślenia i odczuwania, zaspokajając wyjątkowe gusta nielicznych snobów spowodowała kompletny chaos plastyczny. I tu właśnie na przykładzie twórczości międzywojennej znalazła potwierdzenie zasada, że wszelkiego rodzaju wizje i błyskotliwe olśnienia są szkodliwe z punktu widzenia racjonalnej i estetycznej budowy. Prowadzą bowiem siłą rozpędu do formalizmu, zapładniając umysły złym smakiem i wypaczając zdrowe pojęcia o estetyce, nie zorientowanego przeważnie o kulisach tych zagadnień obserwatora.

Każda epoka historyczna wypracowała w oparciu o system gospodarczy i polityczny własne prądy umysłowe, kształtujące z żywiołową siłą szczególne oblicze w dziedzinie architektonicznej. Okres demokracji greckiej stworzył monumenty współżycia społecznego. Imperium rzymskie wykonało prace obrazujące wielkość i potęgę państwa Morza Śródziemnego. Romańszczyzna pokazała w bryle i detalach moc duchową religii Nowego Testamentu. Gotyk zaklął w kamieniu i cegle obraz fanatyzmu średniowiecznych koncepcji uniwersalistycznych. Epoka renesansu wskazała nowe drogi myśli ludzkiej, wyzwalając ją z bojaźni i przesądów. Architektura barokowa jest doskonałym przykładem bezwzględnego absolutyzmu. Wreszcie budownictwo Trzeciej Rzeszy wzniosło największe w dziejach ludzkości osiedla masowej zagłady, informując w ten sposób bardzo dobitnie o własnym programie politycznym.



Warszawa-Bielany — fragment kościoła

Każda epoka historyczna tworzy odrębne formy. Każda idea buduje własne koncepcje kształtowania przestrzeni i zapełniania jej bryłami użyteczności publicznej, pałacami radości lub śmierci.

Powstaje pytanie, czy Polacy potrafili w ciągu 1000-lecia istnienia w Europie, jako państwo — wytworzyć swą własną architekturę, opartą w ramach nieustannego rozwoju kulturalnego na doświadczeniach innych narodów, ale przeżytą wewnętrznie i podaną już, jako forma narodowa. Na pytanie takie możemy śmiało i bez zastrzeżeń odpowiedzieć, że tak było. We wszystkich okresach potrafili nasi poprzednicy opanować nowinkarstwo, przeciekające przez graniczne kordony i budować pozycje odrębne od dzieł tworzonych ówcześnie gdzie indziej — dzieła zaliczane, jako niewątpliwie polskie do całokształtu skarbnicy historii architektury światowej.

Architekturę zabytkową podziwiamy i oceniamy, jako pewien zespół, obejmujący przykłady doskonałe i przeciętne. Dlatego też rozpatrujemy i wszelkie wnioski wysnuwamy zawsze na podstawie całości jakiegoś okresu, a nie przypadkowych elementów. W wypadku, kiedy odstępujemy od tej zasady dla szerszego omówienia obiektu, będącego pierwowzorem nowego stylu na danym terenie, przechodzimy zawsze po przeanalizowaniu tego produktu, do rozpatrywania grupy powstałej przez świadome komponowanie elementów plastycznych dzieła, które odegrało rolę przodka. Rzecz prosta, że do postępowania takiego jesteśmy zmuszeni, biorąc pod uwagę bieg wypadków dziejowych, zostawiających nam przeważnie nie prawdziwe perły danej epoki, lecz zupełnie przypadkową grupę budowli.

Rozpatrując jednak twórczość dzisiejszą w tej dziedzinie sztuk plastycznych, nie mamy prawa podchodzić do niej z założeniem dyskutowania nad całością. Powód jest oczywisty. W wiekach ubiegłych odbiorcą plonów budowlanych była jednostka, magnat lub też niewielka grupa ludzi związana wspólnym celem, bądź zainteresowaniem. W wypadku tym architekt miał możność narzucać chwiejnemu czasem smakowi konsumenta własny smaczek.

Dziś sytuacja uległa zmianie. Rozpoczęliśmy wielki, nieznany dotąd w naszej historii ruch budowlany. Nie możemy robić czegokolwiek i jakkolwiek, bo po raz pierwszy w naszym zawodzie budujemy swoje i dla siebie. Dlatego właśnie mamy obowiązek wypowiadać się szczerze, otwarcie i głośno co sądzimy o popełnianych błedach, jeśli takie istnienią. Musimy zrozumieć, że jedyną bazą naszej obecnej twórczości jest ciężka, ofiarna praca milionów obywateli Polski Ludowej, dźwigających w codziennym trudzie swą Ojczyznę ku lepszej przyszłości. Plony naszej produkcji muszą być doskonałe w każdym wypadku. Obowiązkiem architekta jest wczucie się w tętno dzisiejszego wieku.

Wysunięto niedawno postulat realizmu socjalistycznego. Oznacza on, twórczą metodę, zachowującą swoiste, indywidualne zabarwienie w dziele każdego artysty. Realizm socjalistyczny, to metoda uznająca zupełną swobodę w zakresie wyboru wyrazu, z zastrzeżeniem rzeczywistego, koniecznego wkładu w dzieło budowy nowego życia i nowego człowieka. Lech Niemojewski powiedział kiedyś, że architektura jest „mądrością dlatego, że ogarnia wszelkie przejawy życia ludzkiego i zadanie jej polega na zrozumieniu tych przejawów i znalezieniu dla nich najdoskonalszej formy". A Włodzimierz Sokorski, rozpatrując stanowisko sztuki postępowej, dochodzi do wniosku, że jest ona sztuką walczącą o utrwalenie i odtworzenie w formach i wartościach kulturalnych wielkości przemian społecznych, w rozumowaniu i pojęciu podstawowej linii polityki państwa.

Bolesław Bierut pisze: „Upowszechnienie i uwspółcześnienie twórczości kulturalnej... oto zadanie, które składa na barki obecnego pokolenia twórców i na barki całego narodu nowy okres historyczny... Uwspółcześnienie twórczości kulturalnej, to znaczy wyzwolenie jej ze starych przesądów, to znaczy tworzenie nowych wartości kulturalnych, wyrastających z nowych form społecznych, z nowej rzeczywistości, lecz nawiązujących do najcenniejszych walorów naszej spuścizny kulturalnej".

Jan Minorski wskazuje, że sprawa odrodzenia architektury polskiej jest sprawą nas wszystkich, bez względu na przynależność partyjną, bo twórcami nowego stylu muszą stać się wszyscy obywatele patrzący trzeźwo na cele i plony swej pracy.

Zastanówmy się jakie przyczyny spowodowały powyższe wypowiedzi. Co było powodem szerokich dyskusji i narad architektów polskich przed dwoma laty.

Architektura jest sztuką, wypowiadającą przy pomocy swoistych sposobów ideologię społeczną okresu jej tworzenia. Staraliśmy się wykazać to na przykładach historycznych. Architektura Polski Ludowej powinna więc odzwierciedlić formę nowego ustroju socjalnego. Powinna wykazać jego potęgę i żywiołowość w bryłach i przestrzeni. Rzecz oczywista, że sposobem opowiedzenia tego nie mogła być metoda przedwojennej jałowej, wyzutej z plastyki architektury. Tymczasem pierwszy okres naszej niepodległości został wypełniony działalnością w myśl recept i założeń zawodowych kierunków zachodnio-europejskich. Jednym z czołowych twórców owych recept i ojcem duchowym całej grupy, jest obok Loosa, Gropiusa i Wrighta — architekt francuski Le Corbusier. W szeregu swych publikacji teoretycznych powołuje on do życia doktrynę — „rewolucja, albo architektura". Urzekająca dla kapitalistów jej nowość i siła znalazła nadspodziewanie szybki oddźwięk w postaci ich sympatii i poparcia, polegała ona na teori zastąpienia rewolucji społecznej potężnym budownictwem mieszkaniowym i użyteczności publicznej, wprowadzającym minimalną poprawę bytu niezamożnych grup ludności. Forma zewnętrzna, zaproponowana przez Corbusiera (duże płaszczyzny okien umieszczanych pasami, szerokie prześwity w parterze — w wielu wypadkach istnieją tu tylko słupy dźwigające budynek) — forma ta staje się w ciągu ostatnich 30 lat dziesięciorgiem przykazań całej prawie architektury krajów zachodnio-europejskich. Jak szkodliwym jest oddziaływanie tej pustej i bezdusznej, szablonowej architektury na masy ludzkie, nie potrzeba nawet głębiej udowadniać. Przez swój mechanizm, uwidoczniony na zewnątrz, wypacza ona bowiem wszelkie pojęcia o artyzmie, pięknie i sztuce.

Wymieniliśmy powyżej parę nazwisk architektów zachodnich. Prawie każdy z nich tworzy na tej wspólnie przyjętej kanwie, którą my oznaczamy mianem kosmopolityzmu, swe własne drobne odchylenia swój własny kierunek plastyczny. Najważniejszymi z nich i najszkodliwszymi dla nas są: konstruktywizm, funkcjonalizm i formalizm.

Konstruktywizmem nazywamy metodę projektowania budynków w taki sposób, że szata zewnętrzna jest zupełnie podporządkowana konstrukcji, która dominuje w bryle i na płaszczyźnie zatraca wszelkie cechy artystyczne. Konstruktywizm to fetyszyzm konstrukcyjny i materiałowy, to zerwanie z tradycją historyczną i mechanistyczny pogląd na budownictwo.

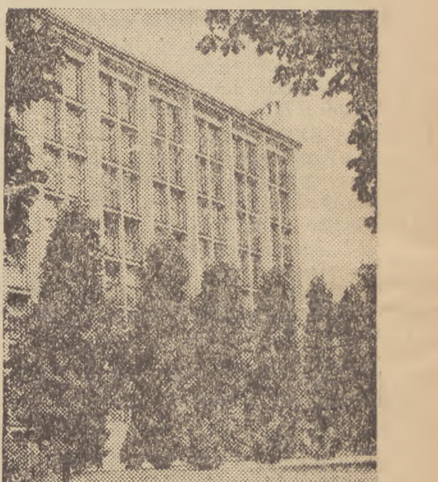
Funkcjonalizm uwidacznia się wówczas, gdy bryła budynku jest jedynie skutkiem otoczenia płaszczyznami ruchu odbywającego się wewnątrz. W wypadku tym nawet kosztowne opracowanie plastyczne traci swój sens z racji nadczytelności funkcji, która w dalszym ciągu tkwi w bryłach ukończonego obiektu. Funkcjonalizm uważa dom mieszkalny — tylko za maszynę do mieszkania, teatr — za maszynę służącą do oglądania widowisk itp.

Budynkiem **formalistycznym** jest taki, gdzie podstawowe elementy budowli są wtłoczone na siłę w przyjętą z góry formę bryły, czy też konstrukcji. Jest to przeważnie skutkiem wizji architektonicznych, jakie krystalizują się w mózgu projektanta, wizji tak silnych, że zwyciężają zdrowy rozsądek.

Na marginesie chcemy zwrócić uwagę, że te wszystkie prądy złączone wspólnym mianownikiem kosmopolityzmu, zatracają zupełnie odrębności form narodowych. Dziś i przed wojną projektuje się na Zachodzie rzeczy identyczne, bez względu na to, czy wznoszone są we Francji, Anglii, Szwajcarii, czy Ameryce, pomimo tego, że każdy z tych krajów posiada własną, doskonałą architekturę historyczną.

Te trzy podstawowe sposoby tworzenia miały i u nas wielu kontynuatorów mimowolnych, lub też świadomych. Rozumiemy zatem doskonale, że państwo budujące nowego człowieka, musiało wniknąć w te sprawy i właśnie wynikiem pierwszych realizacji powojennych były narady architektów.

Każda zmiana rewolucyjna wywołuje dzięki swemu radykalizmowi wiele zastrzeżeń i nieufności. Podobna historia zdarzyła się po uchwaleniu rezolucji Krajowej Partyjnej Narady Architektów w 1949 roku. Wywołała ona burzę krytyki wśród środowiska ludzi przeżuwających jeszcze resztki wspomnień ustroju przedwojennego. Dziś po dwóch latach możemy stwierdzić, że wielu architektów starszych zrozumiało już właściwą drogę.



Jeden z gmachów Szkoły Głównej Planowania i Statystyki

Lech Niemojewski użył kiedyś trzech określeń dla obiektów istniejących na terenie Państwa Polskiego. Według słów jego mamy architekturę w Polsce, to jest wszystkie dzieła znajdujące się na terenach oznaczonych przyjętą linią graniczną, architekturę polskości — sztukę, jaśniejącą blaskiem doskonałości, wymarzoną na papierze ręką Stanisława Noakowskiego i wreszcie architekturę polską, a więc stworzoną na pożywce bezwzględnie rodzimej, przez ludzi, którzy czerpiąc pełną garścią motywy rdzennie polskie, przekuli je w formy o wybitnych cechach narodowych

Stawiamy więc pytania:

W jaki sposób powojenna produkcja budowlana odpowiedziała na zmiany ustrojowe?

Czy naprawdę wydobyła i odtworzyła z całą potęgą prawdy artystycznej proces powstawania i przeobrażania się nowego człowieka?

Czy architekci polscy, operując świetną wymową, znajomościami lub zamówioną u kolegi perspektywą nie próbują i dziś jeszcze forsowania dowolnej formy plastycznej?

Czy twórczość obecna posiada już cechy naprawdę polskie?

Budownictwo nasze jest już niewątpliwie socjalistyczne w treści — jest to zasługa rządu, lecz czy naprawdę jest już narodowe w formie?

(Dokończenie na str. 11)

Witold TRZECIAKOWSKI

O wzrost międzynarodowej wymiany gospodarczej

Już po oddaniu niniejszego artykułu do druku ukazała się w prasie wiadomość o zwołaniu Międzynarodowej Konferencji Gospodarczej w okresie 3 — 10 kwietnia, 1952 r. Celem tej konferencji ma być znalezienie środków, które mogłyby przyczynić się do pokojowej współpracy różnych krajów oraz różnych systemów gospodarczych i społecznych, do ulepszenia wymiany międzynarodowej.

Najwybitniejsi przedstawiciele przemysłu, handlu, spółdzielczości, nauk ekonomicznych i związków zawodowych szeregu krajów o odmiennych strukturach ustrojowych będą szukać praktycznych sposobów przezwyciężenie wszelkich trudności, które się przeciwstawiają podwyższeniu poziomu życia ludności i przeszkadzają normalnej wymianie między krajami.

Problematyka niniejszego artykułu omawia właśnie jedno z czołowych zagadnień, jakie będą zapewne tematem obrad Konferencji.

Redakcja

ZADANIEM niniejszego artykułu jest wyjaśnienie przesłanek ekonomicznych międzynarodowej wymiany gospodarczej, podstawowego elementu współpracy międzynarodowej. Dla nie-ekonomisty opanowanie tematu jest nieco uciążliwe, ze względu jednakże na zasadnicze znaczenie omawianego zagadnienia, a w szczególności na jego aktualność — nie cofamy się przed obawą „ciężkostrawności" problemu.

Aktualna tematyka gospodarcza nie może być rozpatrywana w oderwaniu od rzeczywistości, stąd ściśle ekonomiczna analiza zjawisk prowadzi do syntezy gospodarczo-politycznej. Zgodnie z powyższym rozpatrzymy najpierw gospodarcze podłoże międzynarodowej wymiany, a następnie przejdziemy do ogólnych, oczywiście nie wyczerpujących całokształtu zagadnienia, sformułowań odnośnie widoków rozwoju tej wymiany.

Zastanówmy się najpierw nad pytaniem, czy analiza problemu współpracy gospodarczej w dobie obecnego napięcia politycznego stosunków międzynarodowych jest „na czasie", czy poszukiwanie dróg rozwiązania aktualnych trudności ekonomicznych w obliczu poważnego zagrożenia pokoju światowego jest uzasadnione.

Jeżeli dążenie do utrzymania pokoju ma być uwieńczone sukcesem i prędzej czy później, doprowadzić do konstruktywnego rozwiązania form współżycia dwóch przeciwstawnych systemów — wydaje się, iż jasne postawienie konkretnych warunków nie tylko ich współistnienia, ale i współpracy, jest logiczną konsekwencją walki o pokój.

Samo zrozumienie konieczności rozwiązania problemu gospodarczej wymiany międzynarodowej nie wydaje się budzić wątpliwości, szanse realnego jej urzeczywistnienia natomiast stoją ciągle pod znakiem zapytania.

Historia ostatniej wojny wykazała, iż ścisłe i owocne współdziałanie krajów o różnej strukturze ustrojowej w realizowaniu wspólnych celów jest równie możliwe jak skuteczne. Czynnikiem najbardziej istotnym jest zawsze przeświadczenie o obopólnych korzyściach takiej współpracy. W pierwszym rzędzie należy więc odpowiedzieć na pytanie, czy podtrzymanie wymiany międzynarodowej i jej wzrost leżą istotnie w interesie obu stron, a jeżeli tak, to w jakich konkretnych formach może się ta współpraca przejawić. Dlatego też zaczniemy od gospodarczej analizy podłoża wymiany.

TEORIA MIĘDZYNARODOWEGO PODZIAŁU PRACY

DLA uzasadnienia korzyści wolnego handlu międzynarodowego ekonomia klasyczna XIX wieku wysuwała teorię międzynarodowego podziału pracy. W myśl tej teorii każdy kraj winien specjalizować się w produkcji tych dóbr, które może wytwarzać najwydajniej celem ich wymiany na inne dobra, których produkcja w stosunku do zagranicy nie jest rentowna. Podobnie jak na rynku krajowym, tak i na międzynarodowym, koncentracja oraz specjalizacja produkcji, prowadząc do obniżenia jednostkowych kosztów wytwarzania, przynosi w efekcie korzyści gospodarce światowej jako całości, a zatym i krajom w międzynarodowej wymianie uczestniczącym. Dla bliższego zilustrowania toku rozumowania klasyków ekonomii przytoczymy następujący przykład.

Wielka Brytania produkuje różne dobra znacznie wydajniej niż np. Indie, jednakże jej przewaga w wytwórczości aparatów radiowych na roboczogodzinę jest wyższa, aniżeli w produkcji tekstyliów (stopień zainwestowania kapitałowego, specjalizacja, fachowość obsługi itp.). Dzięki takiej wymianie, wyrażona w roboczogodzinach ilość pracy ludzkiej, potrzebnej do wytworzenia eksportowanych do Indii radioodbiorników będzie mniejsza od ilości pracy koniecznej do produkcji tej ilości tekstylii, jaką Wielka Brytania otrzyma wzamian za swe radioaparaty. Analogicznie dla Indii ilość pracy koniecznej do wytworzenia tekstylii eksportowych jest mniejsza od pracy, która byłaby konieczna przy krajowej produkcji radioaparatów, otrzymywanych w drodze wymiany z Wielkiej Brytanii. Dlatego Wielka Brytania zacznie się specjalizować w wytwóczości radioaparatów. Indie zaś — tekstyliów. W ten sposób klasycy uzasadniali obopólne korzyści międzynarodowego podziału pracy.

KRYTYKA TEORII WOLNEJ WYMIANY MIĘDZYNARODOWEJ

W ŚWIADOMOŚCI społeczeństw zaczęła się powoli kształtować idea czynnego kierowania procesami wymiany międzynarodowej, konieczność wyzwolenia się spod bezkrytycznego podporządkowania interesów kraju mechanizmowi kosztów indywidualnych. Zaczęto zdawać sobie sprawę z tego, iż działalność gospodarcza opłacająca się jednostce może być szkodliwa dla społeczeństwa i odwrotnie, pożyteczna dla kraju inicjatywa gospodarcza, może być dla indywidualnego przedsiębiorcy nierentowna.

Zrozumiano dalej, iż głębokie dysproporcje w podziale dochodu światowego, w stopniu zainwestowania poszczególnych krajów, a zatym w uprzemysłowieniu — stają się źródłem gospodarczej eksploatacji jednych krajów przez drugie.

Należy sobie jasno uprzytomnić, że hasło wolnego, nieskrępowanego handlu międzynarodowego jest taką samą metodą działania jak protekcjonizm, jest metodą ekspansji gospodarki przodującej na gospodarki zacofane, metodą ekonomicznego podboju rynków zbytu i źródeł surowców przy petryfikacji istniejących dysproporcji w stopniu rozwoju uprzemysłowienia. Że wysoko zmechanizowane kopalnie węgla w Stanach Zjednoczonych pracują blisko dziewięciokrotnie wydajniej od kopalń belgijskich nie oznacza bynajmniej, iż zachodząca w produkcyjności różnica jest czymś danym i niezmiennym. Nie statyczna, a dynamiczna analiza gospodarcza prowadzi do wniosku, iż początkowe zapewnienie ochrony przed konkurencją zagraniczną może doprowadzić do wyrównania takiej dysproporcji. Tą właśnie a nie inną drogą powstały potężne przemysły Stanów Zjednoczonych i Niemiec. Dlatego też apoteoza wolnej wymiany międzynarodowej może być gospodarczo uzasadniona li tylko w warunkach „równego startu" dla wszystkich krajów, w chwili osiągnięcia wyrównanego stopnia uprzemysłowienia w ekonomice ogólnoświatowej.

EKONOMICZNE PODSTAWY UPRZEMYSŁOWIENIA

DLACZEGO wzrost produkcyjności kraju w stosunku do zagranicy musi iść w parze z uprzemysłowieniem? W jakim celu przekształcać, kosztem poważnych wyrzeczeń, kraj rolniczy na przemysłowy, zamiast udoskonalić istniejącą strukturę wytwórczości? Dlaczego nie ograniczyć się do skoncentrowania wysiłków na mechanizacji rolnictwa?

Pierwszą przesłanką jest tu zagadnienie niezależności gospodarczej kraju, niezależności będącej warunkiem koniecznym suwerenności politycznej. Już w roku 1813 tezę tę sformułował Benjamin Constant, wskazując, że „handel w swej istocie jest uznaniem siły posiadacza towaru przez pragnącego posiadać; istnieje tam, gdzie siła i przemoc nie mogą być stosowane. Człowiek, który byłby zawsze najsilniejszy, nie miałby nigdy nawet idei handlu"... Ta sama głęboka prawda stosuje się i do narodów. W obecnej rzeczywistości nie ma wolności politycznej bez niezależności gospodarczej, tak na szczeblu jednostek, jak i na szczeblu narodów. Dlatego wzmożenie wszechstronnie rozwiniętego potencjału produkcyjnego kraju jest jedyna droga do urzeczywistnienia tego postulatu. Kraj, choćby liczebnie poważny, ale gospodarczo słaby i zależny, może być tylko przedmiotem eksploatacji ekonomicznej i politycznej w okresie pokoju oraz dostawcą „mięsa armatniego" w okresie wojny. Kraj natomiast gospodarczo rozwinięty może w pokojowej pracy realizować postulat podnoszenia stopy życiowej ludności, nie obawiając się dyskryminacji politycznej i presji gospodarczej z zewnątrz.

Drugą przesłanką, nie mniej istotną, przemawiającą za uprzemysłowieniem, jest różnica zachodząca w produkcyjności rolnictwa i przemysłu. W skali ogólnoświatowej wartość wytwórczości na głowę mieszkańca jest w przemyśle znacznie wyższa aniżeli w rolnictwie. Nawet w kraju tak uprzemysłowionym jak Stany Zjednoczone wartość wytwórczości na głowę mieszkańca w roku 1939 była trzykrotnie wyższa w przemyśle niż w rolnictwie. Dysproporcja ta jest nieporównanie dalej posunięta w krajach gospodarczo zacofanych. Wypływa to z faktu przeludnienia rolnictwa jako gałęzi wytwórczości. Miliony ludzi na całym świecie mogłoby być odciągnięte od rolnictwa i przesunięte do innych dziedzin produkcji bez zmniejszenia dotychczasowej globalnej produkcji rolnej. W wielu krajach, nawet europejskich, tzw. ukryte bezrobocie dochodziło przed wojną do 25% ogółu ludności.

Dlatego też kraj rolniczy będzie zawsze zainteresowany w skierowaniu swych rezerw ludzkich z rolnictwa do przemysłu tj. z małoproduktywnej dziedziny do takiej, w której produkcja na głowę mieszkańca jest daleko wyższa.

Dla ilustracji — jeżeli w Rumunii roczna wartość produkcji na głowę wynosi w rolnictwie równowartość Ł 100, a w przemyśle Ł 200, podczas gdy w Anglii analogicznie Ł 150 i Ł 500 — znaczy to, że w kosztach realnych Rumunia przy wymianie płodów rolniczych na wyroby przemysłowe winna dać produkcję pięciu ludzi (500 : 100) wzamian za produkcję jednego Anglika. Tymczasem dzięki skierowaniu swych ludzi do przemysłu wartość wytwórczości na głowę wzrośnie dwukrotnie, zatem na jednego Anglika przypadnie już „tylko" równowartość produkcji dwóch i pół ludzi (500 : 200). Jak z powyższego wynika, kraj jako całość przy drugim rozwiązaniu zyskuje, natomiast w warunkach samoczynnego kształtowania się wymiany w myśl zasad klasyków — wymiana ta przebiegłaby wg pierwszego schematu.

Z powyższych rozważań wynika, że zagadnienie wzrostu dochodu społecznego na głowę — istotnego miernika dobrobytu — jest nierozłącznie związane z problemem uprzemysłowienia.

Przejdźmy teraz od sformułowań teoretycznych do pobieżnej historycznej ilustracji skutków stosowania polityki wolnej wymiany.

RYS HISTORYCZNY

PRAWO morskie, tak w czasach pokoju jak i wojny było w historii zawsze prawem dominującej potęgi morskiej, dostosowanym do jej potrzeb i interesów. To samo da się powiedzieć o zasadach wymiany międzynarodowej.

Obowiązujące teorie ekonomiczne były narzędziem interesów gospodarek przodujących. Że zasady wolnej wymiany międzynarodowego podziału pracy były hasłami służącymi interesom krajów dominujących — świadczy o tym historyczny rozwój stosunków gospodarczych.

Wiek XIX był stuleciem, w ciągu którego ludność świata podwoiła się, zaś dochód społeczny wzrósł więcej niż dwukrotnie. Jednakże rozdział tego przyrostu dochodu był wybitnie nierównomierny. Udział poszczególnych narodów w dochodzie światowym pozostawiony był działaniu sił automatyzmu wymiany. Rezultatem tego było, iż cztery kraje[1]) (Stany Zjednoczone, Anglia, Francja i Niemcy), reprezentujące 13% ludności świata otrzymywały 50% dochodu światowego, zaś cała „bogata" część świata (Europa Zachodnia, Ameryka Północna i dominia Brytyjskie), reprezentująca 29% — otrzymywała 2/3 wszystkich dóbr. Przeciętna roczna produkcja przemysłowa w Stanach Zjednoczonych wynosiła na głowę 250 dolarów, w Europie Zachodniej — 150 dolarów, a w ubogiej części świata — 10 dolarów. Równie rażąco wyglądała dystrybucja złota światowego.

Ta wielka koncentracja bogactwa była ściśle związana ze wzrostem międzynarodowej wymiany. W ciągu XIX wieku obroty handlu zagranicznego Wielkiej Brytanii wzrosły 10-krotnie, Stanów Zjednoczonych — 25-krotnie, a ogólny poziom obrotów handlu światowego wzrósł w okresie od 1860 do 1913 r. pięć i pół krotnie, osiągając poziom 64,6 miliarda dolarów.

Ślepe działanie automatyzmu wymiany, początkowo tak bardzo dla przodującej części świata zbawienne, niebawem przyniosło ze sobą największą w dziejach depresję. Wybuch kryzysu 1929 roku spowodował gwałtowne skurczenie się importu amerykańskiego (70%) oraz równie gwałtowny spadek kredytów inwestycyjnych (77%). Dzięki strukturze wielostronnej wymiany spadła również wymiana innych krajów między sobą (34%). Organiczne powiązanie gospodarki kraju z wahaniami koniunkturalnymi innych krajów doprowadziło do rozprzestrzenienia się kryzysu na całym świecie oraz do definitywnego pogrzebania systemu wielostronnej wolnej wymiany.

Z jednej więc strony realizacja międzynarodowego podziału pracy w ramach ustroju wolnej niekontrolowanej wymiany przyniosła ogromne gospodarcze korzyści wybranym krajom przodującym, potęgując dysproporcje w podziale dochodu światowego, z drugiej zaś żywiołowy automatyzm funkcjonowania tego ustroju doprowadził do załamania rozwoju gospodarczego w skali dotąd niespotykanej.

Jedynym państwem, które w latach światowej depresji powiększyło swój import o 26% był Związek Radziecki.

Pokryzysową reakcją większości krajów był gwałtowny zwrot do protekcjonizmu, do ścisłej reglamentacji wymiany. Protekcjonizm ten, realizowany drogą stosowania wzajemnych metod dyskryminacyjnych uniemożliwił nawrót do wysokiego poziomu handlu międzynarodowego z lat przedkryzysowych. Dla odgrodzenia gospodarki kraju od wpływu wahań koniunkturalnych zagranicy dążono do wewnętrznej stabilizacji gospodarczej kosztem ograniczenia wymiany z zagranicą, a więc rezygnowania z korzyści międzynarodowego podziału pracy.

Powszechną normą nowych stosunków wymiennych stawała się wymiana dwustronna.

POWOJENNE KONCEPCJE UPORZĄDKOWANIA MIĘDZYNARODOWEJ WYMIANY

DRUGA wojna światowa, przeszło pięć i półkrotnie droższa od poprzedniej kosztowała świat wg przybliżonych[2]) obliczeń 1154 miliardy dolarów. Trzeba sobie uzmysłowić tragiczny ogrom tej kwoty, przeliczając ją na izby mieszkalne czy samochody, by zdać sobie sprawę z utraconych dobrodziejstw zastosowania tego rzędu środków dla pokojowej współpracy. Nic też dziwnego, że miliony ludzi na całym świecie wiązało z powojenną organizacją stosunków międzynarodowych ogromne nadzieje. Pokojowe na skale ogólnoludzką tezy prezydenta Roosevelta, gigantyczne plany odbudowy zniszczonego wojną świata, potężne możliwości kredytodawcze z jednej strony oraz wielkie zapotrzebowanie na kredyty inwestycyjne reszty świata z drugiej, powołanie międzynarodowego parlamentu w postaci O. N. Z. — wszystkie te przesłanki napełniały optymistyczną wiarą w lepsze jutro tych wszystkich, którzy wśród powodzi optymistycznych obietnic zapomnieli czym jest w swej istocie system gospodarki kapitalistycznej.

Zawarcie porozumienia w Bretton Woods stworzyć miało ogólne ramy dla międzynarodowej współpracy w dziedzinie monetarnej i kredytowej, oraz ułatwić rozwój światowej wymiany. Koncepcje te propagowane i realizowane przez Stany Zjednoczone wykazały z perspektywy minionych lat swą całkowitą nieudolność życiową. Tak Międzynarodowy Fundusz Walutowy, jako nadrzędny organ dla przywrócenia stabilizacji monetarnej, jak Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju, organ dystrybucji długoterminowych kredytów inwestycyjnych, jak i Międzynarodowa Organizacja Handlowa, zalecająca nawrót do wielostronnego wolnego handlu — wszystkie te organy już w początkowym okresie swojej działalności zatraciły charakter międzynarodowy, a stały się elementem, zresztą pomocniczym i wybitnie drugorzędnym, ekspansji Stanów Zjednoczonych. Wykazały one praktycznie swą niemoc w czynnym kształtowaniu międzynarodowej wymiany, były nastawione na powrót do ery liberalizmu ekonomicznego, dążyły do usprawnienia kapitalistycznych form wymiany. W samym założeniu nie uwzględniły istnienia dynamicznego rozwoju krajów gospodarki planowej, nie przewidziały strukturalnej nierównowagi bilansów płatniczych reszty świata kapitalistycznego w stosunku do U. S. A. Przewaga techniczna Stanów Zjednoczonych, niekorzystna struktura cen dla rolnictwa i krajów surowcowych oraz wadliwa redystrybucja międzynarodowych aktywów stworzyły źródło trwałej nierównowagi światowej wymiany. Brak właściwych ram dla rozszerzenia współpracy na skalę prawdziwie międzynarodową celem umożliwienia współistnienia przeciwstawnych systemów gospodarczych i politycznych przekreślił w założeniu szanse powodzenia koncepcji, i sprowadził działalność organizacji Bretton Woods w istocie do zawoalowanej dystrybucji kredytów amerykańskich.

Dalsze próby rozwiązania zagadnień gospodarczych świata zachodniego stały pod znakiem supremacji Stanów Zjednoczonych. Nie mieszcząc się w ramach problematyki współpracy sensu stricto (cz. współpracy na zasadach równości i suwerenności) — nie będą tu szerzej analizowane.

Obecne trudności gospodarcze krajów kapitalistycznych uzewnętrzniają się pod postacią strukturalnego zakłócenia równowagi bilansów płatniczych reszty świata w stosunku do Stanów Zjednoczonych, zakłócenia spotęgowanego forsowną polityką zbrojeniową. Miarą tych zaburzeń może być angielski bilans płatniczy. W pierwszej połowie 1951 roku deficyt bilansu płatniczego Wielkiej Brytanii[3]) wyniósł niespotykaną dotychczas w czasach pokojowych kwotę 555 mln. — wobec Ł 136 mln. dla analogicznego okresu roku ubiegłego. Ten katastrofalny stan, symptomatyczny również i dla reszty krajów, prowadzi oczywiście do dalszego gospodarczego, a zatem i politycznego, uzależnienia krajów Europy Zachodniej od Stanów Zjednoczonych.

Z danych O. N. Z.[4]) wynika, że obroty handlu światowego na mieszkańca są dziś niższe niż na początku naszego stulecia. Uchwalona przez Kongres Amerykański w ramach tzw. Ustawy Battle'a polityka dyskryminacji handlowej w stosunku do jednej trzeciej ludności świata nie może doprowadzić do żadnych ustępstw, natomiast musi spowodować dalszy spadek światowych globalnych obrotów.

OGÓLNE ZAŁOŻENIA ZDROWEJ WYMIANY MIĘDZYNARODOWEJ

ANALIZA zagadnień gospodarczych międzynarodowej wymiany prowadzi do szeregu konkluzji natury ogólnej.

Wymiana międzynarodowa, jako jeden z podstawowych elementów wzrostu dochodu światowego jest równie potrzebna jak korzystna. Granice jej stosowania są wyznaczane zgodnie z założeniami i wymogami ogólnej krajowej polityki gospodarczej, której rola nadrzędna, szczególnie dla krajów socjalistycznych nie może być kwestionowana.

Handel zagraniczny, spełniający warunek wzrostu stopy życiowej, jest niewątpliwie pożądany, ale tylko w zakresie, w jakim istotnie na to podniesienie stopy życiowej wpływa. Naczelnym zadaniem tego handlu jest służyć polityce pełnego wykorzystania zasobów materialnych, urządzeń wytwórczych i siły roboczej.

Powyższe tezy, tak bardzo istotne dla krajów gospodarki planowej, w niczym nie kolidują z dążnością do maksymalizacji wymiany międzynarodowej. Kraje socjalistyczne nie stoją na stanowisku autarkii gospodarczej ta bowiem prowadzi nieuchronnie do spadku stopy życiowej, a przeciwnie, dążą do planowego wzrostu wymiany, będącego rękojmią postępu. Względy geograficznego rozmieszczenia surowców z jednej strony, a korzyści stosowania międzynarodowego podziału pracy z drugiej, potwierdzają słuszność tej linii postępowania.

Kraje gospodarki planowej pod żadnym pozorem nie mogą zrezygnować ze świadomego kształtowania swych obrotów z zagranicą, obrotów podporządkowanych naczelnym wymogom planu gospodarczego. Choć stanowisko takie przesądza strukturę tych obrotów, jednak w żadnej mierze nie wpływa na ograniczenie globalnej wartości wymiany.

Ogromny rozmach planów inwestycyjnych, krajów gospodarki planowej, potężne programy uprzemysłowienia i mechanizacji — postulują

(Dokończenie na str. 12)

[1]) P. Rosenstein — Rodan. Ekonomista I/47.

[2]) J. Bregiel „Dienieżnoje obraszczenje i kredit kapitalisticzeskich gosudarstw".

[3]) E. Menzhinsky: Trade a mutual benefit — News Jul 1 1951 r.

[4]) Economic Survey of Europe in 1949, Genewa 1950.

Józef SZCZAWIŃSKI

DWIE ROZMOWY O TEATRZE

PRZEOBRAŻENIA jakim wciąż jeszcze ulega nasza rzeczywistość kulturalna, obejmują również i teatr — jeden z czołowych środków oddziaływania kultury na szerokie rzesze społeczeństwa.

Perspektywy stojące przed współczesnym teatrem polskim są wielkie i niezaprzeczalne, oczywistą wydaje się absurdalność twierdzenia o zwycięskiej rywalizacji ekranu ze sceną, lecz równie wielkimi jak i perspektywy są zadania i trudności. Problem nowego repertuaru, inscenizacji i reżyserii, nowego typu gry aktorskiej, wreszcie problem nowej publiczności, to sprawy splątane obecnie w węzeł, którego nie przetnie miecz teoretyka. Upłynie jeszcze nieco czasu zanim nasza rzeczywistość teatralna przybierze kształt konkretny i zakończony, jak konkretnymi stają się mury wznoszonych gmachów teatralnych, jak konkretnymi stają się pragnienia i żądania widza. Potrzeba na to nie jednej jeszcze rewizji zarówno wskazań teoretycznych jak i realizacyjnych wzorców. Nie jest zadaniem tego artykułu postulowanie czegokolwiek. Chcę przedstawić wycinek życia teatralnego jednego z naszych miast, chcę przedstawić spostrzeżenia ludzi, których głęboka wiedza teoretyczna i wieloletnie doświadczenie szczególnie upoważnia do zabierania głosu w sprawie nowego teatru.

×

SZTUKA w jej scenicznym wyglądzie jest wynikiem działania szeregu czynników—rozpoczynam rozmowę z dyrektorem Teatru Powszechnego w Łodzi Jadwigą Chojnacką. — Mam wrażenie, że zhierarchizowanie tych czynników jest sprawą trudną i niebezpieczną, zaś zanalizowanie ich wymagałoby obszernego studium. Dlatego też ograniczę moje pytania do prośby o wypowiedź dotyczącą koncepcji reżyserskich Pani Dyrektor oraz poglądów Pani na sprawę aktora i repertuaru.

— Prace reżyserskie Teatru Powszechnego w Łodzi nawiązują do realistycznych i postępowych tradycji redutowych, do osiągnięć teatru Stanisławskiego. Reżyser nie może fałszować sztuki, jej treści artystycznej i ideologicznej. Niebezpieczeństwo to jest szczególnie duże przy wystawianiu pozycji repertuaru klasycznego, odległych od nas w czasie sztuk Szekspira czy Moliera lub bliższych naszej epoce komedii Fredry i Zapolskiej. Uchwycenie i uwypuklenie tendencji autora, umieszczenie sztuki w epoce, oczyszczenie z naleciałości i konwencjonalizmów, pozwoli widzowi na lepsze jej przeżycie i zrozumienie. Wiele grzechów na sumieniu miała i ma jeszcze nasza reżyseria w stosunku do aktora. Reżyser, inscenizator, często scenograf zaciążyli nad grą aktorską zarówno w okresie międzywojennym jak i wcześniej. Aktor ginął, niknął, nie mając wiele do powiedzenia stawał się kukiełką, mógł przestać myśleć i nie potrzebował właściwie rozumieć roli. Ogłupiający często repertuar również robił swoje. Musimy zrewidować konwencjonalny typ gry aktorskiej, wzbudzić w aktorze indywidualne cechy twórcze. Aktor nie może być dobrym w jednej roli, musi być dobrym w każdej sztuce i w każdej roli, musi nie tylko trzymać się odpowiednio zinterpretowanego przez reżysera i inscenizatora tekstu, lecz szukać człowieka w jego wczoraj, dziś i jutrze. Powtarzam więc, że największą z naszych obecnych trosk jest przywrócenie aktorowi jego godności i samodzielności artystycznej.

— W ramach swej pracy pedagogicznej ma Pani możność oceny najmłodszego narybku aktorskiego. Czy można więc liczyć na wzbogacenie kadr aktorskich młodymi pełnowartościowymi talentami scenicznymi?

— Na rosnące, młode kadry aktorów patrzę optymistycznie. W naszej łódzkiej szkole aktorskiej mamy młodzież bardzo zdolną. Najbliższe lata dadzą nam wielu utalentowanych aktorów. Same zdolności nie stanowią wszystkiego, dlatego też uczymy młodzież myśleć i pracować metodycznie, dobijamy się prawdy scenicznej i mamy dobre rezultaty. Uważam, że słuchacz szkoły aktorskiej musi wcześnie zapoznać się i oswoić ze sceną. w Łodzi nie ma teatru szkolnego i chciałabym, aby tę lukę wypełnił w części teatr Powszechny.

Wychowując przyszłych aktorów szczególną uwagę zwracamy na ich wychowanie ideologiczne, bez tego moim zdaniem nie ma prawdziwej gry, aktor musi tworzyć świadomie, a więc musi znać i rozumieć problematykę, musi rozumieć bohatera sztuki, bez czego nie ma mowy o realizmie i nie może być mowy o artyzmie gry aktorskiej. To samo zadanie ma szkolenie ideologiczne aktorów starszych, prowadzone przez kierownictwo naszego teatru.

— Czy nie napotyka Pani Dyrektor w swojej pracy naukowej i pedagogicznej na trudności spowodowane brakiem odpowiedniej literatury naukowej z zakresu teatru? O ile wiem, nasza twórczość na tym odcinku nie przedstawia się imponująco?

— Osobiście trudności nie mam, bo znam język rosyjski, zaś materiałów naukowych jest w tym języku dużo. Właściwie współczesny teatr realityczny opracowany został wyczerpująco w języku rosyjskim. Dzieła francuskie i niemieckie dotyczą w większości wypadków samej historii teatru. Niestety, źle stoi sprawa tłumaczeń, istniejace pozostawiają wiele do życzenia a w ogóle przekładów brak, nie mówiąc już o naszej rodzimej twórczości naukowej z tej dziedziny.

— Mówiliśmy o aktorach, o reżyserii, o koncepcjach realizatorskich. Czy byłaby Pani łaskawa zapoznać nas z zamierzeniami repertuarowymi Teatru Powszechnego.

— Problem repertuaru był i jest jednym z zasadniczych problemów teatru. Wspominałam już o wpływie repertuaru na kształtowanie się indywidualności aktorskich, oczywistym jest, że repertuar dostosowany być mui do potrzeb widza, musi widza wychowywać, rozwijać jego smak artystyczny, zbliżać do teatru.

Z tych względów w naszym repertuarze uwzględniamy zarówno sztuki klasyczne jak i współczesne. Z klasyków przede wszystkim wznowimy Szekspira i Moliera, wystawiać będziemy autorów bliższych nam w czasie, jak wspomniany już Fredro i Zapolska, nie zapominamy również o współczesnej twórczości dramaturgicznej, zarówno polskiej jak i krajów demokracji ludowej. Narazie nasza twórczość rodzima wykazuje jeszcze wiele niedociągnięć, mimo że zdarzają się pozycje dobre jak np. „Zwycięstwo". Większość naszych sztuk współczesnych nie jest jeszcze dostatecznie związana z rzeczywistością teatru. Jest jednak pod tym względem coraz lepiej.

W pełni uzasadnionym wydaje mi się wyraźny renesans komedii francuskiej oraz przedstawicieli realizmu demaskatorskiego — Zapolska, Bałucki. Nie zgodzę się ze zdaniem, że Zapolskiej grać już nie należy, kołtuństwa mamy jeszcze dużo, a satyra Zapolskiej staje się skuteczną bronią w walce z tym kołtuństwem. Murowane powodzenie sztuk Fredry ma swoje uzasadnienie w wymogach dzisiejszego widza, którego pociąga żywość akcji, wyraźne rysowanie charakterów i humor fredrowski

Nasze konkretne projekty repertuarowe przedstawiają się następująco: zaprojektowaliśmy wystawienie 12 sztuk w okresie 2 letnim Zaczęliśmy 7 kwietnia „Chorym z urojenia", wznowiliśmy „Moralność Pani Dulskiej" w ramach Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych, wystawiliśmy sztukę spółki autorskiej Hussarski—Lem „Jacht Paradise", daliśmy „Grzeszników bez winy" Ostrowskiego, przygotowujemy „Kandydata Partii Krona". Projektuję wytawienie przeróbki „Martwych dusz" Gogola, czterech sztuk współczesnych, „Ślubów Panieńskich od Fredry, ewentualnie jednej ze sztuk Zapolskiej, na zakończenie sezonu atrakcja — po raz pierwszy bodaj na naszych scenach „Romeo i Julia" Szekspira.

Z DYREKTOREM Iwo Gallem zetknąłem się po raz pierwszy przed dwoma laty. Były to pierwsze dni zespołu teatru „Wybrzeże" na gruncie łódzkim, zespołu dojrzałego, świadomego swych celów i osiągnięć artystycznych, nagrodzonego dwiema nagrodami: wojewódzką i państwowa. Proszę więc na wstępie mego rozmówcę o parę uwag na temat repertuarowego dorobku Teatru Wojska Polskiego (dawn. Jaracza) w Łodzi.

— Za wcześnie jeszcze na wysuwanie generalnych wniosków, na pełną ocenę nie zakończonego jeszcze etapu pracy. Trudności, jakie napotykał nas zespół na gruncie łódzkim, mimo przychylnego przyjęcia przez społeczeństwo i władze miejscowe, były duże. Nieznane miasto, nieznane potrzeby i nieznana publiczność. Nie mieliśmy „łódzkiego" repertuaru, co zmusiło nas do powtórzenia repertuaru teatru „Wybrzeże". Dlatego wznowiliśmy „Marię Stuart". Sezon rozpoczął się właściwie od „Zielonej ulicy" Surowa, później wystawiliśmy „Odwety" Kruczkowskiego, „Dom otwarty" Bałuckiego, ubiegły nasz sezon teatralny zakończyliśmy „Sprawą Pawła Esteraga" i tu okazało się, że publiczność łódzka chętnie chodzi na sztuki współczesne, choć nie gardzi i repertuarem klasycznym, czego przykładem wystawiany przeszło 100 razy „Wieczór Trzech Króli". Wydarzeniem naszego teatru była prapremiera „Rodziny". Przygotowaliśmy sie do niej starannie zarówno zespół jak i ja.

— Wspominaliśmy o reakcji publiczności łódzkiej na niektóre sztuki. Co powiedziałby Pan Dyrektor o wyrobieniu teatralnym łódzkiego widza?

— Temat dość trudny. Nie chciałbym krzywdzić łódzkiej publiczności ani jej nadmiernie chwalić. Uważam, że sympatyczny widz łódzki nie posiada jeszcze w pełni wyrobionego smaku, ciągle jeszcze poszukuje farsowości, sensacyjności akcji, przysparzając sporo kłopotu naszemu kierownictwu artystycznemu. Ze sprawą widza łączyłaby się sprawa opieki nad nim ze strony kierownictwa i zespołu teatru. Opiekujemy się sporą liczbą świetlic robotniczych. Uruchomiliśmy w roku ubiegłym poradnię dla instruktorów amatorskich zespołów robotniczych. Opieka nad świetlicami to zdobycz obustronna, aktorzy biorący udział w tej akcji sami się uczą, poznając środowisko, porównując swoje koncepcje aktorskie z rzeczywistością, zestawiając swoje osiągnięcia z uwagami widza.

— Czy można z kolei prosić o parę uwag na temat Pana koncepcji realizatorskich i reżyserskich?

— Reżyser jest sługą autora i jego sztuki. Zadaniem reżysera jest znalezienie takich środków wyrazu scenicznego, które by jak najwierniej oddały treść sztuki, jak najpełniej unaoczniły zawartą w niej tezę ideologiczną. Reżyser nie powinien wyskakiwać przed autora, tzn. nie powinien uważać tekstu sztuki za pretekst do demonstrowania swoich pomysłów estetycznych i formalistycznych. Sztukę powinno się wystawiać tak, aby widz odniósł wrażenie, że reżysera — nie ma.

— Jak przedstawia się w interpretacji Pana koncepcja gry zespołowej i jakie są w niej możliwości dla rozwinięcia indywidualnych cech twórczych aktora oraz jak wygląda obecnie sprawa sił aktorskich?

— Zasada gry zespołowej jest pustym dźwiękiem, jeśli nie wypełnia jej treść ideologiczna, tzn. oddanie idei nadrzędnej, której teatr winien służyć. Tak pojęta zespołowość stwarza klimat, w którym aktor zyskuje możność najpełniejszego rozwinięcia swych indywidualnych właściwości i możliwości twórczych.

Aktorstwo polskie przechodzi okres rewolucyjnych przemian. Aktorzy starszego i średniego pokolenia rozumieją, że istotą nowego teatru, teatru Polski Ludowej, jest nowa koncepcja człowieka, człowieka ery socjalistycznej. Zadaniem teatru jest wcielenie tej koncepcji w kształty realne bohatera współczesności, w którym robotniczy widz mógłby się przejrzeć jak w lustrze i zarazem zaczerpnąć inspiracji do dalszej pracy. Otóż nie jest to sprawa prosta ani łatwa. Trzeba czasu na to, aby rodzaca się nowa koncepcja człowieka mogła wpłynać na ukształtowanie się nowego stylu gry aktorskiej. Młode siły aktorskie są w lepszym położeniu, gdyż nie obarczone nawykami kultury mieszczańskiej mogą wnieść do teatru walory zaczerpnięte z ich doświadczenia społecznego, są to bowiem w przeważającej mierze synowie robotników i chłopów.

— Jaką rolę wyznacza Pan Dyrektor scenografii?

— Scenograf powinien podobnie jak i reżyser służyć autorowi i jego sztuce. Wynika stąd, że koncepcja scenograficzna powinna być ściśle uzgodniona z koncepcją reżyserską. Scenograf powinien tak konstruować przestrzeń sceniczną, aby każdy przedmiot współgrał z aktorem i zarazem służył mu jako punkt oparcia. Równocześnie przestrzeń sceniczna powinna dawać aktorowi maksymalną swobodę poruszeń. Nie ma nic bardziej szkodliwego, niż tzw. wizja plastyczna przytłaczająca sztukę i odwodząca uwagę widza od tego, co się dzieje na scenie.

— Prosiłbym o kilka słów na temat repertuaru klasycznego i słusznych zdaniem Pana koncepcji realizatorskich w zastosowaniu do tego repertuaru.

— Sztuka klasyczna nie jest czymś zastygłym, nieodmiennym. Podobnie jak wszystkie inne zjawiska życia społecznego, sztuka klasyczna jest cząstką procesu historycznego i podlega prawom dialektyki rozwojowej. Najbardziej odległa klasyka powinna służyć epoce i zaspakajać jej potrzeby. Żywotność sztuki klasycznej polega właśnie na tym, że rozwija się wraz ze społeczeństwem i w każdej fazie historycznej odsłania przed nim inny aspekt swej problematyki, odpowiadający wymogom czasu. Zadaniem reżysera jest ów aspekt wydobyć i przekazać widzowi.

— A jakie błędy i osiągnięcia znajduje Pan ze stanowiska człowieka teatru we współczesnej dramaturgii polskiej?

— Współczesna dramaturgia napawa otuchą każdego człowieka teatru. Nigdy przed wojną nie byliśmy świadkami tak wspaniałego rozkwitu polskiej literatury dramatycznej. Przeszło 50 sztuk, powstałych w wyniku konkuru, mającego zasilić Festiwal Polskiej Sztuki Współczesnej to plon bogaty, wielostronny, obejmujący najistotniejsze zagadnienia naszej epoki, plon, w którym reżyser może czerpać pełną garścią. Nie mówiąc już o tym, że współpraca reżysera z autorem w toku opracowywania tych sztuk może wzbogacić w cenne doświadczenia zarówno jednego jak i drugiego. Festiwal Polskiej Sztuki Współczenej może i powinien być pierwszym etapem w wykuwaniu nowego stylu scenicznego.

×

JAK wspomniałem wysuwanie szczegółowych wniosków z przytoczonych wypowiedzi wykraczało by poza ramy artykułu. Być może wypowiedzi sprowokują dyskusję, być może przeprowadzający wywiady powróci jeszcze do zawartych w nich twierdzeń i spostrzeżeń.

Józef Szczawiński

Twardzi ludzie

(Dokończenie ze str. 7)

Usłyszawszy to jejmość, zatrzymała Nolbusia, choć ks. Preuss ruszył już naprzód do kościelnego baraku.

— Czyś to ty, chłopcze — zapytała — przyszedł do nas w czasie zarazy dziękować za uratowanie ojca?

— Ja, proszę jejmości!

— I przymówiłeś mi wtedy, że tego obiadu, co mu raz wysłałam, było dla dla was za mało.

— Ojciec skrzyczał mnie za to! — zarumienił się ministrant.

— A czemu ojciec nie prosił o pomoc, kiedy cię posyłał do szkół?

— Póki jegomość nieboszczyk żył, sam obiecywał pomoc. A potem powiedział ojciec, że my są za twardzi ludzie do prośby.

— Twardzi ludzie! powtórzyła jakby do siebie w zamyśleniu Winklerowa.

Nolbuś skłonił się grzecznie i pobiegł za księdzem farorzem.

Jejmość szła powoli ku barakowi, w którym rozlegały się śpiewy. Myślała dalej nad słowami 16-letniego chłopca.

— Z twardymi trzeba iść na ustępstwa! — umacniała się w przekonaniu. — To będzie *interes* Thiele-Winklerów. Baronowie pruscy nic gwałtem tu nie wygrają...

Po kazaniu ks. Preussa, którego słowa potwierdzała obecność jejmości w kościele, uspokoiły się umysły parafian. Uznali swoje zwycięstwo. Do marszu na zamek po sumie już nie doszło.

Kazimierz Gołba

Mistrz trudnego rzemiosła

(Dokończenie ze str. 6)

iż zasługuje na uniewinnienie, ile że, ostatecznie, Tamango posłużył się jedynie godziwym prawem obrony; a przy tym ci, których pozabijał, to byli tylko Francuzi. Postąpiono z nim tak, jak się postępuje z Murzynami przejętymi na skonfiskowanym statku handlarzy niewolników. Dano mu wolność, to znaczy kazano mu pracować dla rządu; ale miał za to sześć groszy dziennie i pożywienie. Był to bardzo okazały mężczyzna. Pułkownik 75 pułku ujrzał go i wziął, aby zeń uczynić cymbalistę w swoim pułku. Nauczył się trochę po angielsku, ale nie rozmawiał nigdy. Za to pijał bez miary rum i ratafię. — Umarł w szpitalu na zapalenie płuc".

Ktoś dowcipny zabawiał się kiedyś obliczaniem wypadków śmierci w nowelach Mérimée'go. Okazało się, że zupełnie pusta rubryka znalazła się wyłącznie przy tytule: „Ksiądz Aubain"... Cóż lepiej niż ten szczegół oddaje sprawiedliwość stylowi autora „Wzięcia reduty", który tragizm życia, tak jak je widział, potrafił opowiedzieć równie spokojnie?

Dużo kłopotu sprawiać musi Mérimee wszystkim, którzy za wszelką cenę periodyzować chcą historię literatury. Gdzie umieścić tego przyjaciela Stendhal'a, pozostającego jednocześnie w najlepszych stosunkach z Wiktorem Hugo (raz nawet spotkał ich u siebie!)? — Ile jest w nim „romantyka", a ile kpiny z romantyczności? — Realista?, ale jaki? — Na jedno zgodzą się wszyscy: że Prosper Mèrimée, to mistrz niełatwego rzemiosła artystycznego, mistrz — jakże zaniedbanej obecnie! — trudniej sztuki, którą zwykliśmy określać dwoma prostymi słowami: savoir conter.

Andrzej Narbiecki

Zadania estetyczne architekta

(*Dokończenie ze str. 8*)

Interesujące byłyby wypowiedzi architektów i społeczeństwa na te pytania.

Wysunięto postulat realizmu socjalistycznego. Czołowe osobistości rządu, świata nauki, kultury i sztuki zabierały głos, wyjaśniając jego znaczenie i istotę na czym ta metoda polega. Jakie stawia warunki i zadania. Większość fachowców podjęła już świadomą działalność w tym duchu. Postarajmy się rozważyć, w jaki sposób polska inteligencja architektoniczna idzie tym torem. Jak pojęła i jak realizuje zasady realizmu?

Zrozumiano go najprościej. Ponieważ w imię poprawy i startu z



Przedszkole na Mariensztacie

okresu przeróżnych stylów modernistycznych nawołuje realizm do powrotu i głębokiego poznania architektury klasycznej, nic prostszego, jak zaopatrzyć się w pierwszej z brzegu księgarni w albumy Rzymu i Grecji, a mamy już przynajmniej 100 projektów opracowanych całkowicie. Klasycyzm—więc zgoda i zaczyna się pakowanie w bryłę świątyni, czy termów — teatru, bądź też kina, innym razem basenu kąpielowego, czy nowoczesnej kuźni mechanicznej. Tak jest, niestety. W wielu wypadkach tak właśnie, bezkrytycznie i bezmyślnie pojęto to hasło wzniesione w celu naprawy myśli i formy. Słowa o wzorowaniu się na architekturze klasycznej pojęto, jako mechaniczne kopiowanie stylów historycznych, powstałych przecież w zupełnie innych warunkach gospodarczych i społecznych, form, służącym często specjalnym przeznaczeniom i wydobytym w innych materiałach, aniżeli te, jakie nam dzisiaj udostępniono.

Przypominamy słowa Bolesława Bieruta o „nawiązaniu do najcenniejszych walorów naszej spuścizny kulturalnej..." Biorąc je pod uwagę, uważamy:

1. Wyrażenia o oparciu się w naszej pracy na „architekturze klasycznej" nie możemy pojmować dosłownie, jako kopiowanie, czegoś co zostało już kiedyś zbudowane.

2. Słowo „klasyczność" należy rozumieć, jako „doskonałość". Wyrażenie „architektura klasyczna" jako „architektura doskonała".

3. Wychodząc z tego tłumaczenia, należy przed rozpoczęciem opracowania koncepcji zapoznać się przede wszystkim z najlepszymi i najciekawszymi przykładami okolicy, a następnie kształtować swój pomysł, tworząc go w duchu budynków najlepszych i najliczniejszych dla któregoś okresu historycznego, na terenie nowej realizacji.

4. Nie należy zapominać, że produkcja nasza nosi datę drugiej połowy dwudziestego wieku i mając nowe materiały musimy oc[illegible]iennie, nowocześnie traktować swą twórczość.

5. Jeśli my, architekci, przyjmiemy termin „architektura klasyczna", jako mechaniczne kopiowanie Grecji, Rzymu, czy renesansu włoskiego, przerysowując szkice Palladia i Vignoli w większej skali, jako rysunki robocze, dlaczego dramaturg Polski Ludowej nie pisze identycznie tak samo, jak dramaturg starożytnej Grecji, dlaczego nasz współczesny poeta, nie pisze dosłownie tak samo jak Jan Kochanowski, dlaczego współczesny nam muzyk polski komponując nowy utwór nie przepisuje po prostu na czysto papier nutowy muzyki np. staroegipskiej

Przeczuwam zastrzeżenia, jakie wywołam tymi słowami u KOLEGÓW KLASYKÓW. Dlatego też uważam za konieczne poświęcić jeszcze parę słów tej sprawie.

Przede wszystkim architektura okresu klasycznego nie jest w naszym kraju tak liczną, aby pracować tylko w jej duchu, jak życzą to sobie nasi „nowocześni klasycy". Rozpatrując to zagadnienie w architekturze ludowej, a więc najbardziej polskiej, znajdujemy w rzeczywistości elementy tego stylu. Jest ich jednak nie wiele. Są dwory polskie z gankami i tympanonem wspartym na kolumnach, ale to przecież są przykłady architektury szlacheckiej, dążącej najtańszym sposobem do okazania zamożności i równości za pan brat z samym królem. Są i w chałupach wiejskich dalekie echa budowli klasycznych, ale te właśnie fragmenty są zaczerpnięte z budowli pańskich — to są tylko przykłady wpływu budownictwa dworskiego na sztukę ludową.

Krytykujemy słusznie obecne prądy plastyczne, nurtujące w naszym fachu na zachodzie Europy. Zastanówmy się co będzie, gdy we wszystkich państwach demokracji ludowych zrozumie się metodę realizmu socjalistycznego tak, jak u nas. Gdy wszędzie zacznie się tworzyć architekturę klasyczną w duchu Vignoli i Palladia? Czy nie doprowadzimy przypadkiem do czegoś, co można będzie nazwać **„klasycyzmem kospopolitycznym"**, a co będzie właściwie tylko FORMALIZMEM? O to chyba nie chodzi nikomu.

Mamy na naszych ziemiach doskonałe przykłady budownictwa romańskiego, gotyku, renesansu, baroku, stylu Stanisława Augusta Poniatowskiego, mamy tyle możliwości budowania pięknych i narodowych w formie obiektów. Zwróćmy szczególną uwagę na budownictwo w Związku Radzieckim; gdzie domy wznosi się w duchu najlepszej epoki na danym terenie; gdzie wychodząc z powyższego tworzy się różnice pomiędzy domem zrealizowanym w Leningradzie, Moskwie, czy Taszkencie. Postarajmy się z doświadczeń radzieckich wysnuć właściwe wnioski i w oparciu o nie zacząć myśleć o swej pracy.

Zlecono nam tworzenie nowej sztuki. Wielki plan państwowy postawił przed nami olbrzymie zadania do wykonania. W ciągu sześciu lat mamy przerobić dziesiątki milionów metrów sześciennych na hale fabryczne, teatry, kina, domy wczasowe i sanatoria, muzea, szkoły i domy mieszkalne. Z zadań tych musimy wywiązać się bez zarzutów. Słusznym i celowym będzie stosowanie cech klasycznych tylko w specjalnych wypadkach. Koniecznym zawsze będzie rzeczywiste stwarzanie sztuki polskiej, przy zastosowaniu najnowszych zdobyczy technicznych i materiałów budowlanych.

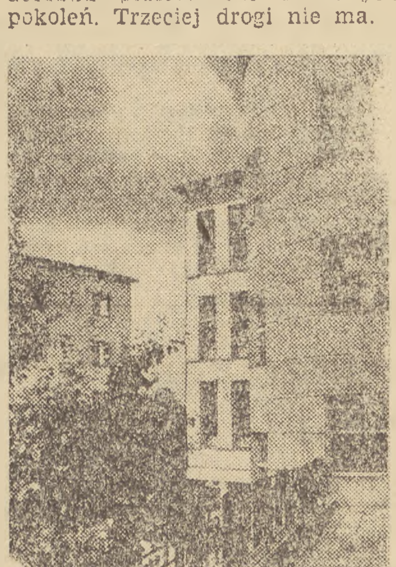
Spotykamy czasem rozumowanie, że jakość projektu może być w związku z materiałem, w którym będzie wykonany, że mając do dyspozycji prefabrykaty nie warto myśleć nawet o architekturze. Wystarczy wspomnienie budownictwa. Wspomnienie, bo budownictwo — to świetne wykonanie, a przy pustakach nie warto o tym myśleć. Co sądzimy o człowieku, który tak sądzi? Czym wobec przyjętych założeń jest produkt tego myślenia? Ani architekturą, ani budownictwem. Jest po prostu TANDETĄ, pornografią artystyczną, jest niepotrzebnym i zmarnowanym wydatkiem pieniędzy, będących dorobkiem i własnością ogółu. Jest świadomym sabotowaniem rozkwitu polskiej, socjalistycznej kutury narodowej.

Architektura nie może być wyłącznie sposobem wypowiedzenia swych możliwości i ambicji. Architektura musi się stać sztuką służącą ludowi pracującemu.

Zadaniem naszym jest oblekanie myśli i idei w realne kształty wykute w skale, betonie, czy cegle. Z materiałów tych można wznieść pałace luksusowe, domy mieszkalne, bunkry i komory gazowe lub tamę spinającą szarą klamrą dwa brzegi rwącej górskiej rzeki. W tych samych materiałach można budować lichwiarsko i uczciwie, z myślą o kieszeni własnej i wspólnej puli milionów ludzi, przemawiających tą samą mową ojczystą. My pragniemy i będziemy budować dla siebie. Dla prostych ludzi chcących pracować w spokoju i niezachwianym przekonaniu, że plony ich pracy nie zostaną pewnego dnia zdeptane butami jeszcze jednej wojny. My chcemy budować najpiękniejszą i najlepszą architekturę pracy i pragniemy, aby nasz okres przeszedł do historii, jako niespotykany dotychczas ruch pokojowego budownictwa.

Zadaniem naszym jest praca. Szybka, sprawna, wydajna, świadoma swych celów i mądra. Praca, jako droga służenia narodowi z wdzięczności za nabyte umiejętności. Nasz talent musi być spontanicznym startem do czynu. Nasz rozum musimy w pełni oddać na usługi naszych rąk. Wtedy nasze serce wskaże każdemu indywidualnie, co jak robić, jaką wznosić architekturę, aby była naprawdę polską, aby była rzeczywiście sztuką wesela, radości i szczęścia.

Są tylko dwie drogi. Pierwsza myślenia i działania w duchu kosmopolityzmu, będącego wektorem wszystkich możliwych „izmów". Druga tworzenia w duchu realizmu socjalistycznego, pojętego jako twórcze przekształcanie dorobku plastycznego minionych pokoleń. Trzeciej drogi nie ma.



Fragment nowoczesnego domu mieszkalnego

Zastanówmy się poważnie, którą mamy obrać. Zastanówmy się, czy chcemy kroczyć w triumfalnym pochodzie ku zwycięstwu odrodzenia narodowej myśli plastycznej. Możliwości są ogromne. Najwyższy czas, aby umiejętności nasze, skontrolowane i uzupełnione, stanęły na równorzędnym poziomie do szlachetnego współzawodnictwa. Wymaga tego od nas naród, Rząd i nasza spuścizna kulturalna. Tylko swą pracą wykażemy swoje chęci.

Dymitr Stefan Sozyko

Józef DUŻYK

Poeta Śląska

TAK jak młody turysta, ot studencina nie wiele z „forsą" mający do czynienia, w połowie XIX wieku w okresie Wiosny Ludów wędrował po Śląsku niejaki pan Bogusz Zygmunt Stęczyński. Miał wtedy 30 lat, więc był człowiekiem jeszcze młodym i mógł sobie pozwolić na podobną eskapadę. Ale nie był przeciętnym turystą. Umiał pięknie rysować i ... rymować. Był więc poetą. Wprawdzie — jak poznamy z wyjątków — nie dorównywał wieszczom i pierwszorzędnym stylistom. Ale ważniejsze jest u naszego wędrowca coś innego.

W r. 1949 wrocławskie Ossolineum wydało książeczkę małego formatu pt. „Śląsk". Autor wiadomy: Bogusz Zymunt Stęczyński[1]). Ponieważ zbyt wielkiej furory książeczka nie zrobiła, a na milczenie nie zasługuje, przeto nie zawadzi rzucić o niej garść uwag, myśli bezpośrednio snutych pod wrażeniem czytanej lektury.

Jeszcze parę słów o autorze. Stęczyński urodził się w roku 1814 w Hermanowicach koło Dobromila. Ojciec jak sam Bogusz napisał był „słynnym ze sztuki zakładania malowniczych i użytecznych ogrodów Flory i Pomony". W domu się nie przelewało, życie było skromne. Stęczyński na studia nie mógł sobie pozwolić. W Krośnie uczył się malarstwa pokojowego. Ale za to uczy się sam, czyta dużo książek. I dużo wędruje po kraju od r. 1844, poznając Galicję, Karpaty i Tatry. W poemacie „Tatry" pisze:

„Poznałem kraj drogi spokojwszy siebie
Artystycznym zawodem o wodzie i chlebie".

Z wędrówki swej zostawił 4000 widoków, w tym około 1500 akwareł. Stęczyński nie ograniczył się tylko do Polski. Był na Węgrzech, w Słowacji, w Wenecji itd. W r. 1847 wydał część rysunków w książce „Okolice Galicji". W 1860 poemat „Tatry", a potem inne jak: „Zbójcy w Galicji", „Krosno". Umiera w r. 1890 w Krakowie w nędzy i opuszczeniu.

Dużo utworów zostało w rękopisie do dziś. Powinny być wydane.

„Śląsk" to największy utwór Stęczyńskiego. Pisany 13-to zgłoskowcem, liczy ponad 5000 wierszy. Wartości artystycznych sensu stricto nie posiada. Jest natomiast ten poemat wyrazem jego szczerego patriotyzmu i ukochania tego co polskie. Jest to poemat historyczno-opisowy mówiący o różnych miejscach, które Stęczyński zwiedził, a które do nas po ostatniej wojnie wróciły. Pisze więc o Wrocławiu, Świdnicy, Jeleniej Górze, Kudowie, Dusznikach, Cieplicach, Legnicy itd.

Już w przedmowie do poematu podkreśla Stęczyński swe nieugięte stanowisko: „...przez nieuwagę polityczną naszych zacnych przodków Śląsk wpadł w ręce niemieckie i powiększył ich ziemie, przed wiekami gwałtownie nabyte i jak najśpieszniej zniemczane, a z naszych słowiańskich pokoleń ogołacane jak najsromotniej... lud na Śląsku nie stracił jeszcze zupełnie cechy polskiej, jest poczciwy, szczery i gościnny, chociaż przeszło pół tysiąca lat przyciska go i zatopić usiłuje żywioł niemiecki".

Pierwsze strofy „Śląska" mówią o polskości tej ziemi.

Śląsk nasz uczcić pragniemy dla całości sławy
Lechickiego narodu, bo złe nie zdołało
Zatrzeć w nim cechy polskiej, choć walczyło śmiało
Germańskiego żywiołu broną obosieczną,
Wrodzoną swą chciwością i kłamstwem niegrzeczną.
Która swoją powodzą miasta, wsie, bezdroże
Usiłuje zatopić, a przecież nie może!

Tak nasz Stęczyński nastrajał lirę, tak pisał we wstępie poetyckim. Przychodzą teraz poszczególne pieśni. W pieśni pierwszej razem z Stęczyńskim

Wstępujemy na ziemię Śląskiem nazywaną.
Ziemię świętą, bo od nas wszystkich ukochaną,
Która od rzeki Ślęzy przybrawszy nazwisko,
Od prawieków pierwotne ma polskie ognisko,
Utrzymując w sobie pierwiastki uczciwe,
Ale obca nawała, zabrawszy tę niwę,
Usiłowała wszystko zmienić swym zwyczajem
I mówić, że Śląsk zawsze był niemieckim krajem!
Ale, chociaż odmienne nazwy podawano
Przecież duch i uczucie polskie się odzywa
I wychodzi z zatopu, jak z wody oliwa.
I język nasz szacowny, a taki obfity,
Przez pięśset lat ucisku nie został zabity,
Pokazując wyraźnie cud Boski na sobie!

Na każdym kroku Stęczyński podkreśla istotne cechy zaborczego prusactwa, wykazując, że Polacy trwali mimo to przy swym języku i obyczajach.

...od wieków myślano, jakim by sposobem
Słowiańskie pokolenia postawić nad grobem.
Nawet wepchnąć do grobu!... a na ich własności
Rozsiedlić się i wznieść naród niemieckiej ludności.

Chociaż nie posiada wykształcenia jest jednak Stęczyński dobrym psychologiem i interpretatorem faktów. Dobrze komentuje fakt niezaprzeczonej polskości Śląska. Język uważa on za jeden z więzów łączących ludzi jednej narodowości i utrzymaniem języka tłumaczy zachowanie polskości tej prapolskiej ziemi.

Przez obszerne równiny, przez piaszczyste pola
Równą drogą przybywszy do miasta Opola,
Gdzie już mówią po polsku i gdzie zrozumiani,
Możemy bez trudności rozmawiać wylani,
Gdzie język w swej świetności jest utrzymany
I święcie za najdroższy klejnot uważany.
Bo tam ludzie nie gasną, gdzie język istnieje,
Chociaż na nich przeciwność ze wszystkich stron wieje.
Zależy to od czystej miłości i tchnienia
Dla swoich poprzedników, dla swego plemienia.
Kto obcy język nad swój ojczysty przekłada,
Ten zmiejsza swoje plemię, ten zwolna przepada!

To co pisał Stęczyński nie wynikało wcale z jakiegoś zacietrzewionego szowinizmu narodowego, wynikało po prostu z głębokiego patriotyzmu, głębokiej miłości Ojczyzny, ukochania tego co nasze, co polskie. Wiemy z dziejów kultury polskiej ile szkody przyniosły nam różne naleciałości obce, ile szkody przyniosło używanie w wieku np. XVIII języka francuskiego. Wytwarzał się dziwny typ człowieka, którego nie możnaby nazwać ani Francuzem, ani Polakiem, ani nawet kosmopolitą. Ginęła kultura narodowa, ginęła myśl polska, gdy w oparach francuszczyzny żyła wielka część naszego społeczeństwa. Miał rację Słowacki, gdy krzyczał, wcale nie histeryzując, „pawiem narodów byłaś i papugą". I rozumiał to dobrze Stęczyński, gdy pisał pełen jędrnej prawdy „Śląsk".

Takich strof jakie wyżej przytoczyłem jest więcej. Z każdego słowa, z każdego zdania, które wyszło spod pióra owego turysty z 1846 r. przebija głęboka prawda i wielka troska o ziemię, o lud, o zwyczaje. Ten trzydziestoletni człowiek, wędrujący z przyborami malarskimi i piszący swe strofy na przystanku wędrówki, w jakiejś karczmie, zajeździe, był uświadomionym Polakiem i wybiegającym myślą daleko naprzód, do tych dni, w których nad zniszczonym i spalonym Wrocławiem załopotały po raz pierwszy od setek lat biało-czerwone sztandary. Może tylko nie przeczuwał, że w tym Wrocławiu polski, narodowy zakład wyda jego poemat o Śląsku.

Staranne, miłe dla oka wydanie mało znanego poematu to wydarzenie ważne. Przybył jeszcze jeden więcej dokument udowadniający polskość odzyskanych w r. 1945 ziem. Przybył dobry świadek tej polskości z XIX wieku, a choć nie wspaniały i olśniewający pod względem artystycznym, to przecież nie mniej ważny i doniosły. Twórcy tego dokumentu należy się również miejsce i to nie poślednie, w dziejach polskiej kultury i pamięć u narodu, którego był wiernym i dobrym synem.

Józef Dużyk

1) „Śląsk podróż malownicza w 21 pieśniach" wyśpiewał Bogusz Zygm. Stęczyński. Wyd. 2. Do druku przygotował, wstępem i objaśnieniami opatrzył Franciszek Pajączkowski. Wrocław, Zakład Nar. im. Ossolińskich 1949.

WIECZORY POD LIPĄ

Felieton programowy

ISTNIEJĄ zagadnienia bardzo ważne i zarazem bardzo kłopotliwe. Gnębią one wielu, ale rzadko kto odważy się przenieść je na papier. A jeżeli nawet się odważy, to wyczerpie cały zapas odwagi na samo podjęcie takiego zagadnienia. Chodzi więc potem koło sprawy zasadniczej jak kot po ściernisku. Poruszy tamto, poruszy owo i „ucieknie na Pragę".

Raz po raz potykamy się o takie kwestie, wołając o rozwiązanie albo przynajmniej o porządne postawienie, kwestie tworzące w dziedzinie życia praktycznego niebezpieczne wiry i wilcze doły, kwestie groźne i palące dla tych, którzy muszą się z nimi porać jako z problemami własnymi, a zaledwie napoczęte, nadgryzione przez ludzi pióra.

Bo z tych ostatnich każdy ma swój własny ogródek, a w tym ogródku własną kapustę i rzodkiewkę. Jeśli zaś chodzi o sprawy spoza zakresu jego specjalności, woli czekać, aż zjawi się jakiś Kopernik od danej dziedziny i „wstrzyma słońce, ruszy ziemię". Zanim zaś ten ewenement nastąpi, „naj bude szczo buwało".

Jeżeli jednak na Koperników posucha? Tacy przecież na kamieniu się nie rodzą! Życie zaś nie czeka. Rozwiązuje ono w każdym konkretnym wypadku swoje trudności tak, jak Aleksander Wielki węzeł gordyjski — jednym cięciem miecza (lub siekiery). Bywają jednak węzły bardziej delikatne, subtelne, których rozwiązywanie metodą „rąbania na odlew" wcale nie rozwiązuje. Końskie kuracje nie zawsze są skuteczne. Bywają takie węzły spraw ludzkich, które — raz byle jak rozcięte — zawęźlają się znowu w sposób coraz bardziej skomplikowany i niepokojący.

Tak, istnieją zagadnienia, na pozór nieważne, drugorzędne, codzienne, które jeszcze nie dostąpiły tego zaszczytu, by je zaliczono do pojęć, które się określa, jako „Kultura" (przez duże „K"). Tym zagadnieniom wstęp do owego sanktuarium jest wzbroniony, ponieważ nikt jeszcze nie napisał o nich trzytomowej powieści, wstrząsającego dramatu ani pracy doktorskiej. Nie wiadomo, jak się do nich zabrać, nie wiadomo, co na ich temat należy powiedzieć, żeby nie wywołać zgorszenia lub drwin.

Ale są także zagadnienia załatwione, ustalone, spetryfikowane, zmumifikowane raz na zawsze. Zapięto je na ostatni guzik, postawiono ostatnią kropkę nad ostatnim i, powiedziano nad nimi najostateczniejsze „amen". Są to zagadnienia — święte krokodyle, zagadnienia — tabu. Należy podchodzić do nich z odkrytą głową i boso, mówiąc zaś o nich klęczeć na oba kolana. Wietrzyć ich nie należy, walić w nie trzepaczką, nawet po to, ażeby wypędzić zadomowione w owych „świętościach" mole — nie wolno. Na nic się nie zda tłumaczyć, że mole, że myszy, że pajęczyna, że zaduch.

Są zagadnienia, które uważa się za wielkie jak Mont-Everest, i są takie, które uchodzą za maleńkie niczym wirus przesączalny. Są takie, o których należy mówić przez megafon, i są takie, o których nawet szeptać nie wypada. Są jeszcze i takie, i owakie, i rozmaite inne.

Ale czasem należy ustalony porządek postawić na głowie: upomnieć się o sprawy spoza kręgu arystokratycznych „problemów zasadniczych", przypomnieć, wskazując palcem tę czy ową uznaną „świętość", że Pan Bóg jeszcze za czasów Mojżesza zabronił składania czci bałwanom, popatrzeć przez odwróconą lornetkę na Mount-Everest, a zagapionym przez teleskop w gwiazdy ustawić przed nosem mikroskop z rojącymi się w kropli wody jakimiś tam drobnoustrojami.

Bo takie jest właśnie powołanie pisarza: być tam, gdzie realne potrzeby żywych ludzi wołają o wypowiedzenie, o sformułowanie pojęciowe i artystyczne; tam, gdzie pod naporem wzbierającej rzeczywistości zaczynają trzeszczeć rusztowania starych (choćby najbardziej czcigodnych) mniemań, przekonań i doktryn; tam, gdzie góra rodzi mysz, i tam, gdzie z takiego świńskiego jadła jak żołądź zaczyna kiełkować — dąb. Bo taki jest los pisarza; zbierać wszystkie sprawy, wynosić je na światło dzienne, nie dać zatłamsić najniklejszego kiełka idei ważnej i żywotnej, a tarmosić za najbardziej patriarsze brody wszelkie wzniosłości, którym już czas na emeryturę; rozrzewniać i rozśmieszać, stawiać na cokole i kompromitować, zbierać i rozpraszać, prorokować i prowokować.

Można się w ten sposób dorobić niejednej grubej książki, niejednego tomika „nieśmiertelnych" wierszy. Ale cóż zdziała taki, któremu przypadła do smaku lekka, błaha, z Podparnasia rodem — forma felietonu? Takiego na agorę gdzie areopag najmędrszych zasiadł i rozprawia, nie wpuszczą. Stanie więc on skromnie na uboczu i będzie czekał, aż się najdostojniejsi do domu wyniosą, a potem siądzie z dobrymi przyjacioły pod lipą (czarnoleską) i uda się z nimi w pogwarkę o sprawach tego świata. Kto zechce, zatrzyma się, posłucha, może nawet przysiądzie się i wtrąci do rozmowy. No, i tak się będzie rozprawiało o wszystkich rzeczach i niektórych innych.

Niezłe to ostatecznie zajęcie! Grube księgi w ten sposób nie powstają, ale za to ileż ma się okazji do spotkania z różnymi ludźmi, ideami, faktami! Ileż możliwości różnorodnych kontaktów, zdarzeń, starć, prowokacji, inspiracji! Ileż okazji do wetknięcia kija w takie czy inne mrowisko!

„Niech tam inni księgi piszą" — jak mowi poeta. Ja, co mam do powiedzenia, będą wypowiadał na tych wieczornych pogwarkach pod lipą. Sobie na uciechę, ludziom na pożytek.

Bogumił Kolec

Ogólnopolska wystawa książki i ilustracji

W GMACHU „Zachęty" w Warszawie, przy pl. Małachowskiego odbyła się w październiku pierwsza po wojnie ogólnopolska wystawa książki i ilustracji. Zorganizowało ją Centralne Biuro Wystaw Artystycznych oraz Sekcja Grafiki Związku Polskich Artystów Plastyków.

Wystawę poprzedziła długa praca segregacyjna. Ogrom jej zrozumiemy, jeśli uprzytomnimy sobie, że niedługo wyjdzie spod druku 500-milionowy egzemplarz książki. Komisja Kwalifikacyjna pod przewodnictwem Józefa Czerwińskiego musiała przejrzeć tysiące publikacji. Plonem tej pracy był pokazany nam wybór 1200 plansz.

Wystawa obejmowała wszelkie rodzaje wydawnictw książkowych, jak periodyki, książki dla dzieci i młodzieży, cykle wydawnicze, powieści autorów współczesnych, tłumaczenia z języków obcych oraz klasyczne pozycje z literatury pięknej.

Godnym uwagi był fakt, że wystawa przedstawiała nie specjalne wydania luksusowe, jakich kilkanaście mieliśmy już po wojnie, przeciwnie, — pokazywała ona zwykłe książki dnia codziennego.

Do 1939 r. wydawnictwa o zaprojektowanej i opracowanej estetycznej szacie graficznej należały do rzadkości. Większość wydawanych powieści odznaczała się tandetnym drukiem i podłymi, „gangsterskimi" okładkami. Dzisiaj wszystkie spółdzielnie wydawnicze rozpoczęły świadomą politykę estetycznej oprawy plastycznej każdej książki. Oglądaliśmy na wystawie projekty i realizacje wykonane przez czołowych artystów-grafików seniorów i artystów młodych, wkraczających dopiero w życie.

Zadaniem współczesnej książki jest kształcić człowieka i wychowywać go. Pociągnęło to za sobą konieczność jej estetycznego ukształtowania. Wydawnictwa przestały być obliczone jedynie na zysk. Spowodowało to wprowadzenie do książek ilustracji w stopniu większym niż przed wojną. Przed grafiką użytkową postawiono zadanie uświadomienia i orientowania czytelnika o treści książki. Temat, wątek literacki i poruszone problemy stanowią potężną bazę twórczości artysty-grafika, stawiając go w wielu pokazanych pozycjach na równorzędnym poziomie z autorem tekstu literackiego. Ilustrator tłumaczy bowiem, uplastycznia, uwidacznia czytane fragmenty, zbliża do użycia, powoduje urealnienie bohatera książki oraz środowiska społecznego, w którym żyje i pracuje.

Oglądając niektóre z przedstawionych na wystawie prac byliśmy czasem zaskoczeni wspaniałością i doskonałością ich opracowania. Nie chcemy na tym miejscu wymieniać szczegółowo poszczególnych prac i zajmować się drobiazgowo analizą ich wartości artystycznej, zajęłoby to wiele miejsca, jest bowiem tematem poważnego i naukowego opracowania. Nie można jednak przemilczeć pozycji takiej jak fantastyczne i naprawdę bajeczne ilustracje do bajek Jana Marcina Szancera, ilustracje do „Fausta" Goethego, wykonane przez Stanisława Brzęczkowskiego, okładki i ilustracje Tadeusza Gronowskiego, Stefana Bernacińskiego, Zbigniewa Richlickiego, Konstantego Sopočki, Henryka Tomaszewskiego, Marka Rudnickiego i wielu innych. Zdumiewały nas potężne w wyrazie drzeworyty Hiszpańskiej-Neumann do książki „Yerma" F. Garcia Lorca, Fijałkowskiej Zofii, ilustracje do książki „Bajki" I. Krasickiego wykonane przez Józefa Skarżyńskiego, prace Olgi Siemaszkowej, Antoniego Uniechowskiego (na uwagę zasługuje opracowanie „Eugeniusza Oniegina" Puszkina), Ignacego Witza, Edmunda Bartłomiejczyka, Mieczysława Kościelniaka (ilustracje do utworu „Konrad Wallenrod" A. Mickiewicza) oraz dziesiątki innych.

Zaprezentowana nam wystawa dowodzi szeroko rozwiniętego indywidualizmu poszczególnych twórców. Przechodzącym salami „Zachęty" rzucały się w oczy przeróżne sposoby wypowiadania myśli. Bardzo różnorodna jest również technika pracy współczesnych artystów-grafików. Widzieliśmy doskonałe drzeworyty, oleje, tempery, rysunki ołówkiem, kredką i piórkiem. Stosunkowo najsłabsze były prace wykonane akwarelą.

Godnym szczególnego podkreślenia jest fakt realizmu większości prac.

W katalogu wystawy czytamy o zadaniach, jakie leżą dotychczas nietknięte przed polskim artystą-grafikiem. Jednym z nich jest zilustrowanie całej naszej literatury klasycznej. Ufamy i wierzymy, że prezentacja prac najwybitniejszych naszych twórców pozwoli na zorientowanie się w przyszłości o indywidualnych możliwościach, upodobaniach i zdolnościach artysty.

Z filharmonii warszawskiej

NA V Koncert Symfoniczny Filharmonii Warszawskiej złożyły się utwory kompozytorów wyłącznie polskich. Wykonano uwerturę do opery „Leszek Biały" Józefa Elsnera (1769 — 1854), koncert skrzypcowy d-moll Henryka Wieniawskiego (1835—1880) oraz „Sinfonię rustica" Andrzeja Panufnika.

Józef Elsner, dyrektor Opery, rektor konserwatorium, kompozytor oper, komedio-oper, baletów, symfonii, utworów kameralnych, oratoriów pieśni jest zasłużona postacią w historii polskiej muzyki. Większość jednak jego kompozycji uległa zapomnieniu, przesłoniła je twórczość młodszych kompozytorów.

Jest on najwięcej znanym ze swych utworów raczej lżejszego kalibru.

Wykonana na koncercie uwertura do opery „Leszek Biały", powróciła na estradę po przekomponowaniu jej i zinstrumentowaniu przez Grzegorza Fitelberga. Czy jednak nie została zbyt unowocześniona?

Henryk Wieniawski kompozytor i skrzypek-wirtuoz należy do najwybitniejszych postaci świata muzycznego XIX w. Karierę swą rozpoczął bardzo wcześnie, bo w jedenastym roku życia, zdobywając wielki złoty medal w paryskim konserwatorium. Jest jednym z czołowych przedstawicieli polskiej szkoły skrzypcowej.

Wieniawski często czerpał ze źródeł polskiej twórczości ludowej i chociaż nie dorównuje bogactwem i głębią treści muzycznej Chopinowi to jednak utwory jego przetrwały próbę czasu i do dziś dnia są często wykonywane na koncertach.

Do najpopularniejszych jego utworów należy koncert skrzypcowy d-moll. Indywidualny styl Wieniawskiego znalazł w nim swój najpełniejszy wyraz, a bogactwo inwencji melodycznej i podporządkowanie problemów technicznych koncepcji muzycznej czynią zeń najwybitniejsze dzieło tego kompozytora.

Solista koncertu był młody skrzypek Henryk Palulis, dysponujący nieco zbyt słabym tonem, ale zato pięknym i miękkim brzmieniem. Grę jego cechuje duża swoboda i pierwszorzędna technika.

Trzecim i ostatnim punktem programu była „Sinfonia rustica" Andrzeja Panufnika. Utwór ten powstał w 1949 roku i na konkursie kompozytorskim im. Fr. Chopina zdobył pierwszą nagrodę. Jest on oparty tematycznie na melodiach ludowych, ściślej mówiąc na pieśniach kurpiowskich, których kompozytor nie modyfikuje, a cytuje dosłownie. Ciekawa instrumentacja i oryginalna harmonika tego utworu świadczą o dużej indywidualności kompozytora, poszukującego nowych rozwiązań dźwiękowych.

Orkiestra pod dyrekcją Andrzeja Panufnika najlepiej brzmiała w starannie przygotowanej „sinfonii". *Z. B. K.*

Tydzień Chrustologiczno-biblijny w Toruniu

W DNIACH, od 20.X — 27 X br. w kościele św. Jakuba w Toruniu odbył się cykl wykładów Chrystologiczno-biblijnych. Wykłady te prowadzone przez Ks. Prof. Dr. E. Dąbrowskiego, zaproszonego z Warszawy, zgromadziły w godzinach wieczornych wielką ilość słuchaczy. Zwłaszcza licznie reprezentowana była młodzież uniwersytecka oraz profesorowie, co dowodziło zainteresowania miejscowego społeczeństwa katolickiego poruszanymi zagadnieniami.

Naczelnym zagadnieniem Tygodnia była postać Chrystusa Pana w nauce współczesnej, co prelegent omówił w sześciu kolejnych wykładach:

I. Poglądy na Chrystusa Pana w wieku XX-tym.

II. Historyczność postaci Chrystusa Pana według świadectw historyków rzymskich.

III. Historyczność postaci Chrystusa Pana wg świadectwa Ewangelii.

IV. Historyczność postaci Chrystusa Pana wg świadectwa św. Pawła.

V. T. zw. „Problemat Chrystusa Pana" w nauce współczesnej.

VI. Teologia Katolicka a postać Chrystusa Pana.

Dzięki Protektoratowi J. E. Ks. Biskupa Dr. Kazimierza Kowalskiego, mieszkańcy Torunia mieli możność zapoznania się z ust jednego z czołowych biblistów polskich o najnowszych zdobyczach wiedzy chrystologicznej, pogłębiając przez to swój światopogląd katolicki.

O wzrost międzynarodowej wymiany

(*Dokończenie ze str. 9*)

wzrost wymiany z Zachodem. W zamian za swe produkty rolne, przemysłowe i surowce kraje te potrzebują w pierwszym rzędzie maszyn i urządzeń inwestycyjnych, surowców dla przemysłów tekstylnych, skór, kauczuku, metali nieżelaznych i produktów kolonialnych.

Z drugiej strony wzrost wymiany świata kapitalistycznego z krajami socjalizmu jest dla przytłaczającej większości państw reszty świata równie korzystny, jak na długą metę nieodzowny. Zrozumienie tej tezy jest powszechne wśród krajów socjalistycznych, a zdobywa sobie coraz więcej zwolenników wśród gospodarczych kół fachowych Zachodu. Obok powszechnie znanych wypowiedzi czynników miarodajnych ZSRR, ostatnio zanotować można coraz więcej realnych sformułowań oficjalnych osobistości świata zachodniego. Przykładem mogą być tu szczególnie ostatnie wypowiedzi takich angielskich mężów stanu jak Sir Hartley Shawcross[5]), Anthony Eden, minister Gaitskell oraz przedstawicieli sfer gospodarczych ONZ, jak Gunnar Myrdal, (który na sesji gospodarczej Rady Europejskiej wzywał do polityki wszechstronnego wzrostu stosunków handlowych ze Wschodem). Wobec braku możliwości zwiększenia eksportu do Stanów Zjednoczonych (tak wskutek minimalnej elastyczności dochodowej popytu amerykańskiego jak i protekcyjnej polityki celnej) — jedynym konstruktywnym i długofalowym rozwiązaniem trudności płatniczych jest dla krajów Europy Zachodniej maksymalizacja obrotów handlowych z krajami socjalistycznymi Europy i Azji.

Warunkiem podstawowym współpracy gospodarczej między krajami obu systemów musi być wzajemna tolerancja ich ustrojów.

Praktyka sama dokonuje oceny żywotności współzawodniczących ekonomik — bez potrzeby uciekania się do użycia siły zbrojnej.

Ta wzajemna tolerancja winna doprowadzić do sprecyzowania realnych warunków wymiany drogą ścisłego określenia obopólnych praw i obowiązków stron. Długofalowe, obustronnie wiążące umowy handlowe, a w przyszłości i kredytowe, mogą stać się konstruktywnym czynnikiem poprawy dotychczasowych stosunków.

Przerwanie stosunków handlowych zawsze prowadzi do wojny, gotowość natomiast do rozszerzenia wymiany na wszystkie kraje, niezależnie od ich ustroju ekonomicznego i politycznego, wzmacnia szansę pokojowego współżycia.

Wzajemna współzależność stosunków gospodarczych i politycznych jest faktem oczywistym. Jeżeli dążenia zmierzające do poprawy ogólnych, politycznych ram współpracy napotykają dziś na tak wielkie trudności — dokonanie maksymalnego wysiłku dla polepszenia szans wzrostu współpracy na polu gospodarczym jest obowiązkiem chwili.

Powodzenie tej akcji gospodarczej byłoby pierwszym bezspornym osiągnięciem na drodze do rozładowania obecnej atmosfery politycznej.

Witold Trzeciakowski

[5] Board of Trade 15 September 1951. „W roku 1950 otrzymaliśmy z ZSRR 6100 q zbóż chlebowych (więcej niż 1/3 naszego importu), 1/4 naszego importu tarcicy, 1/10 naszych bekonów, kopalniaków itp. Anglia z trudem tylko może się obejść bez tego importu.

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak, Konstanty Łubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p., tel. 8.80.71, 8.80.26. Konto PKO — Nr I-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz 11 — 13.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1.80 złotych. Kwartalnie 5.40 złotych.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3. Zam. 2806/A. 2-B-44417